



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

Brr! zimno!... i siedź tu na werendzie!

Niebo już prawie od dwóch tygodni płacze i to płacze tak szczerze, jakby jakieś nieszczęście gdzieś, tam, pod firmamentem się stało.

Przed trzema tysiącami lat, kiedy to Zeus gromowładny panował na Olimpie, podobną chimerę najpiękniejszej pory roku wytlómaczonoby klótnią bogów; Boreas niósłby wichry na chmur wydętych żaglach, Pozejdon wzburzył odmęty wodne, Hefestos niósłby pioruny i wkładał je do rąk rozniewanemu Zeusowi; cały Olimp byłby w ruchu, a nimfy i boginie zawodziłyby płaczką, że Eros wśród krzewów mirtowych, ozłoconych ciepłymi promieniami słońca, przebiegać nie może, opuścił skrzydelka zmoczone, drży biedactwo od zimna i skostniałymi palcami złotej cięgiwy naciągnąć nie zdoła. I oto, patrząc na niebo pokryte wzburzonymi chmur bałwanami, wsłuchując się w szum wichru, szelesty deszczowe chwytając uchem — marzyłyby się ludziom czarodziejski świat bajek, jakiś potężny zatarg mieszkańców niebieskich. Fantazyja wypelniłaby czas nudnego oczekiwania pogody: Calipso nie byłaby pocieszona po odjeździe Tele-maka, Penelopa szylaby i rozparała robotę, oczekując powrotu Odyseusza i tworzyłyby się historie bajecznie piękne w prostych a szczerych duszach wyległe.

Ale na Olimpie cisza — bogowie umarli!

Deszcz — to nie lzy rozkochanej nimfy po królewicu błędnym, grom — to nie gniew, rzucony ręką wspaniałego władcy Olimpu, echo nie jest skarga żalostnej bogini, a miłość... miłość dzisiejsza nic nie ma wspólnego ze złotą strzałką Kupidyna, szukającą serca zamiast banknotu.

Doprawdy! chciałoby się czasami być dzieckiem owych czasów zamierzchłych i mieć pierś przepełnioną, choćby kłamstwem bajek czarodziejskich.

Mówią jednak, że najpiękniejsze oblicze ma — prawda.

Ale jaka?

Pokażcie mi, jako *prawdę*: męstwo, odwagę, cnotę, poświęcenie, przyjaźń prawdziwą i miłość prawdziwą — uchylę czoła przed nią. Ale — jeżeli prawdą jest — błoto... Wolałbym zasłonę zarzucić na oczy, mówię tylko *wolałbym*, bo wiem, że tego uczynić niewolno, że za dużo już tych przepasek na oczy nałożyliśmy sobie, że zerwać je czas wielki i spojrzeć w oczy prawdzie smutnej, nagiej, przerażającej tą beczelną swoją nagością.

Męstwo? odwaga? czy są one cechą ludzi dzisiejszych?...

Z rozkoszą dałbym twierdzącą odpowiedź — lecz z prawdą bym się rozminął. Ba! gdybyśmy mieli odwagę i męstwo, inaczejby u nas było z tą, tak zwaną, opinią publiczną, która chro-mieje coraz bardziej. Nie podać ręki wyraźnemu nicponiowi, to już do czynów bohaterskich należy. Zasada niemal ogólna jest: nie narażać się; albo, jak to mi powiedziano niedawno: podaję rękę dwudziestu nicponiom, nie mam słuszności przed dwudziestym pierwszym jej cofnąć.

Słusznie!

Ale po co tamtych dwudziestu się podaje?

— Widzisz! stosunki stosunczki!... Z tym

nas łączy interes pieniężny, z tamtym może łączyć...

— Ale, mój kochany, to są rzeczy...

— Wiem, wiem!... Ale nie budź licha póki opinii. Kto wie, czy jutro ten lub ów nie będzie tobie potrzebny.

I oto owa *potrzeba* zabija wszelki zmysł moralny, cuchnące błotko rozlewa się dokoła, miękko jest pod stopami, grzęźnie się odrobinię, ale nikt jeszcze po uszy nie zapada, a jeśli podobny wypadek stał się — no, to naturalnie... wtedy już kompromisu żadnego nie ma.

Jeżeli jawnie wygłaszają się zdania podobne, i to wygłaszają ludzie, znani nawet szerokiemu światu, to cóż mówić o ogóle, który, bądź co bądź, znajduje się pod przewodnictwem tych znanych? I rzucono nieraz pytanie, w czym spoczywa ta pobłażliwość dla ludzi znanych z niemoralności pewnych i słyszano odpowiedź — doprawdy łamiącą odpowiedź:

— W potrzebie — chleba!

A jednak? czy tylko nim człowiek żyje? Czy, potrzebując chleba, nie chce się w dodatku imać do niego? Rozkosznice i rozkoszniki — można powiedzieć słowami Skargi...

Ach! jak on okropnie powiedział!

Więc z powodu tej ciężkiej walki o byt — panuje ten zanik praw moralnych. To u dołu, a u góry?...

Jeżeli nie lepiej — to stokroć gorzej. Tam do marcepanów potrzebują okrasz jeszcze. Przytępię-pione podniebienie wymaga coraz ostrzejszej strawy. I zło rośnie, w przerażający sposób rośnie... na wszelkich polach.

Poprawiły się nieco stosunki w dziennikarstwie, ale nie zupełnie. Oszkalować kogoś, rzucić jakiś dwuznacznik potępiający, nie to już kosztuje. Wystąp z oburzeniem przeciwko takiemu a takiemu pismu, zechciej poruszyć opi-

nię, ażeby jawnie wypowiedziała swoje niezadowolone—spotkasz się z obojętnym ruszeniem ramion i słowami:

„Ech, czy to warto!”

A są rzeczy, w których nie potrzeba opinii budzić, bo ona spać nie powinna. Tymczasem, niestety—sen ten graniczy niemal ze śmiercią—uczciwości.

Na pewne zło, nurtujące społeczeństwo nasze, byliśmy jedni z pierwszych, którzy nietylko zwrócili uwagę, ale wprost, bez żadnych osłonek odezwaliśmy się do kobiet, by dzieło naprawy zła wzięły w swoje ręce. Przemawialiśmy do matek, żon, siostr i narzeczonych, podaliśmy nawet sposób postępowania, wzburzyliśmy nawet przeciwko sobie pewien odłam mężczyzn, ale — *amicus Plato, sed magis amica veritas*. Przypominacie szanowne czytelniczki, że mówiłem wówczas—o kartach.

Niejedni mogliby wziąć słowo moje za przesadę rzeczywistości. Ale niestety, tak nie było. Wprost groźne wieści dochodzą do nas z Poznańskiego, w którym nie masz dnia, ażeby jaki majątek rycerski do rąk Niemców nie przeszedł. Komisja kolonizacyjna nie próżnuje, duch Bismarcka cieszy się, że drwiące słowa jego o Monaco w groźny spełniają się sposób. Jeżeli ciężkie warunki gospodarstwa zmuszają niektórych do pozbycia się fortun, stokroć cięższą klęską są karty, zmuszające graczy do pozbycia się honoru, okrom karcianego honoru, nazwanego długiem honorowym. Zaraza jest tak ogólna, że nawet do warstw niższych społeczeństwa przesiąkła i zaraża już włościan, dotąd spokojnie i uczciwie pracujących na roli. A zło do szczytu już doszło, zatargało śnać silnie nerwami i otwartymi oczyma spojrzano, gdy naród drgnął wreszcie i widząc się stojącym nad brzegiem przepaści, zamarzył o towarzystwach, któreby położyły kres bezmyślnej a dziś już grzesznej zabawie. Ludzie czujący, kochający kraj, kapłani z powołania swojego, a szczególnie kobiety, wzięły się do zamierzonego dzieła. Jaki będzie skutek tej walki, nie wiemy—ale silna wola, poczucie i zrozumienie klęski, zresztą błogosławiony zawsze wpływ niewiast — muszą odnieść zwycięstwo. Wytrwałości tylko, rozumu—i serca!

Z otrzymywanych przez nas listów z różnych zakątków ziemi naszej—listów, kreślonych przeważnie palcami kobiecymi, widzę, że i u nas ta choroba z całą niszczącą swą potęgą grasuje i gangrena zaraża zdrowe jeszcze części społecznego organizmu. Nim do zakładania towarzystw przyjdzie, środki ratunku znajdują się w rękach kobiecych. Do dzieła więc panie i panny! Nie lękajcie się gniewnej twarzy narzeczonym pokazać, związać ich słowem przysięgi przed przysięgą ślubną. Złe jest większe, niż ból chwilowy ukochanym osobom zadany, a przecie są obowiązki nad obowiązki. Pierwej się rodzi... człowiek, później się staje narzeczonym, mężem czy bratem.

Nie mogę się powstrzymać, ażeby nie przytoczyć tutaj kilku słów w omawianej kilkakrotnie przez nas sprawie, Maryusza, z „Kuryera Warszawskiego:“

„Oto biorę do ręki jakiś dziennik poznański i słyszę dzwon na trwogę, któremu imię: „Hańba karciarzom!“ Przypomina mi się książkę Bismarcka i jego urągliwe prorocstwo, że judaszowe srebrniki, które kolonizacja pruska wypłaci kramarzom zagonów ojczyźnych, utoną w Spaa lub w Monte-Carlo. I przypomina mi się, jak to dumnie wówczas odzywała się prasa i posłowie, że ani jeden grosz polski nie wzbogaci jaskini hazardu. Ba! nawet poezja przemówiła płomiennym protestem i od Mysłowic do Pucka brzmiała okrzyk: „Nie pojedziemy do Monaco!”

A potem? Potem szły szmery, z razu bardzo ciche, że w Monte-Carlo rej wodzą ziemianie poznańscy. I rosły te szmery, potężniały, aż wreszcie dekoratorowie i tapicerzy narodowi stłumić już ich nie zdołali, i nawet z czasopism zachowawczych, lękających się jak ognia wszelkiej krytyki uprzywilejowanych warstw społecz-

stwa, ozwała się skarga żalosa: „Ziemianie przegrywają w karty ojcowiznę!“ Wskazywano palcem osoby, zaczęto demaskować tajniki klubów towarzyskich, zapuszczono sondę w ropiejące rany i oto przerażonym oczom odsłonił się obraz rozgałęzionej szeroko gangreny.

Zagrzmiała pobudka: Na mury! Ludzie dobrej woli stanęli ramię przy ramieniu i wśród rozpaczliwych nawoływań prasy powstało w Poznaniu pierwsze stowarzyszenie anti-karciańskie. Celem jego: reforma opinii i bezwzględny ostracyzm marnotrawców mienia publicznego. A śnać źle, bardzo źle działać się musiało w społeczeństwie poznańskim, skoro wszystkie pisma, bez różnicy sztanarów politycznych, zgodnym chórem wyklinają szatanów hazardu i błogosławią stowarzyszenie, co staje do walki z karcjarstwem.

A gdy tak od kilku tygodni wre na ziemi poznańskiej walka z karcjarstwem, w Krakowie i Lwowie tą samą nutą odzywa się trąbka bojowa. Prawie cała prasa przerażona tragediami banków galicyjskich, aresztowaniami powag krajowych, samobójstwami graczy nieszczęśliwych i ucieczkami na łeb i szyję skompromitowanych mężów zaufania—potwierdziła dobitnie, że to demon hazardu znać daje o sobie.

Nie ma energii, nie ma mrówczej pracy, nie ma krwawych wysiłków, nie ma mocy społecznej, jest tylko pogoń za szczęściem, nie w ciężkich butach i z oskardem w rękę, lecz w lakierkach, w modnym cylindrze, w lekkiej karecie na gumach.

„A gdy tak myśl moja — powiada dalej sprawozdawca, tonie w tem piekielku skarg, szamotań i wyklinań, płynących ku nam zdaleka, pytamy się z trwogą: czy my tylko odegrywamy tu rolę współczujących spektatorów, czy też nam samym na ławie oskarżonych zasiąść wypada? Mniejsza już o kluby „możnych panów“, ale chodzi mi tu o te zdrowe, przystępne dla życzliwej rady warstwy mieszczaństwa, gdzie „za przykładem bogów“ robak hazardu poczyna podcinać korzenie. Wystarcza zajrzeć o północy do resurs mieszczańskich, ażeby się przekonać, że na Senatorskiej ulicy są równie doskonałe kopie Monte-Carla, jak tam, gdzie „pianka“ towarzystwa szumi przy zielonych stolikach. Wystarcza przylgnąć się uważnie przedmieściom naszym i wnikać w tajniki rodzin rzemieślniczych, aby i tu postawić dyagnozę tej smutnej zarazy, którą szerzy hazard. Zło idzie, pełza, wciska się w niziny społeczne i trąd moralny zaszczepia.“

Czy nie czujecie ciężaru?

Maryusz chce, by bramy pałaców zamknęły się przed nałogowym karcjarzem, by przykład szedł z góry.

Ba! któżby tego nie chciał?

Ratujmy więc głowę i serce, bo gdy myśli wietrzeją, uczucia strupieją — organizm umrzeć musi. Dla tego po raz jeden jeszcze zwracam się do was matki-polki, mówiąc, że obecnie *rzeczywiście* źle się wasz syn bawi; dla tego zwracam się do was raz jeszcze żony i narzeczone, bo w waszych rękach jest broń najskuteczniejsza przeciwko tej zarazie moralnej, jaką są karty.

Odetchnijmy trochę po myślach ciężkich i przejdźmy do wypadków dni bieżących.

Pomimo niepogody, rozpoczął się u nas tak zwany sezon teatrzyków ogródkowych. Po raz pierwszy, przynajmniej od lat bardzo dawnych, Teatr Rozmaitości będzie się cieszył odpoczynkiem półtora miesięcznym; — wypadek to bardzo pomyślny dla ogródków, które nieraz z wysileniem wielkim swój żywot wiodą.

Na pazury wziął się p. Michał Wołowski, dyrektor teatru w Łodzi. Zjechał do Warszawy z doskonale wyrobioną trupą i osiadł w Bagateli. Zdawałoby się, że miejscowość ta, położona na końcu Warszawy, od śródmieścia oddalona, niezbyt dobrym jest punktem dla przedstawień teatralnych, właśnie z powodu oddalenia swego, a tem samem trudności komunikacji. Ale p. Michał umie sobie radzić. Osiadłszy w Bagateli: „Bagatela!“ powiedział na owe wszystkie trudności i wszedł w umowę z towarzystwem tramwajowym, które, specjalnie nato wynajęte, wagony posyła do Bagateli, dla zabrania wychodzących

z teatru widzów. Nie dość tego, kupujący bilet do teatru, może od razu kupić za opłatą 10 kop. bilet jazdy. Tak więc jest wilk syty i owca cała.

Ale, czy zajrzeliście już państwo do Bagateli? Pan Michał nie teatrzyk, ale teatr co się zowie zbudował. Wnętrze wygląda bardzo ładnie, a doskonale jest stopniowe podnoszenie się parteru, tak że z najodleglejszego punktu widać wybornie co się robi na scenie.

Repertuar też nie byle jaki. Zanim inne teatry zdobędą się na wystawienie Bergerca'a, już go nam Wołowski pokaże, a mówią, że i „Balladynę“ ma w zanadru, za co — gdy wieści się sprawdzą — uczciwą ucztą podziękować by mu należało — albo, bo jestem nieprzyjacielem uczt wszelkich, upominkiem — za zrozumienie zadania, jako dyrektora teatru polskiego.

Zupełnemu powodzeniu teatrów ogródkowych bruździ dotąd kapryśna pogoda, ale w Bagateli i to jest bagatela, bo teatr jest pod dachem i nieproszonego prysznica lękać się nie mamy racji. Zresztą słońce zaświecić musi, a wtedy — jednym z najprzyjemniejszych miejsc rozrywek będzie ogród zoologiczny.

Niemalą też przynęta dla miasta naszego był wieczór literacki na korzyść kasy pomocy literackiej, który się odbył w resursie kupieckiej. Występowali: Adam Pług, Prus, Sieroszewski, Gawalewicz i — Sienkiewicz.

Czytał autor „Quo Vadis“ napisaną dla Jedności „Grosz do grosza“ legendę, która jest niczem innym, tylko arcydziełem legend wszystkich.

Lukullusowa ta ucztą literacka powtórzoną być miała, ale — Maj, figlarz wieczysty, popsuł sprawę. Znużone głowy literackie potrzebują spoczynku. Rozpierzcha się więc drużyna bratnia, na letni udając się spoczynek. Ale początek dany, zawodu nie było, choć pięciorublowym biletom potrzeba było okupić tę istic duchową przyjemność.

Kasa pomocy literackiej, oczekiwana oddawna, założona niedawno, pomalutku staje się pieszczochem ogółu. Wiecie już zapewne o podarunku na rzecz kasy willi w Zielonce, a oto znów na ostatnim posiedzeniu komitetu, odbytem pod przewodnictwem Henryka Sienkiewicza, odczytano deklarację p. E. Chrzanowskiego, który zobowiązuje się dostarczyć bezpłatnie potrzebną ilość drutu kolczastego do oparkania tej willi; także zobowiązanie p. Zielonki, co do zaprowadzenia dzwonek elektrycznych, p. Ludwika Pyrowicza co do ozdób architektonicznych, o ile tego będzie potrzeba i p. Maurycego Karstensa, który obiecał dostarczyć potrzebnej ilości słupków do parkanu, również bezpłatnie. Członków też coraz więcej przybywa, a i filantropia osób pojedynczych ma ujście doskonałe, bo Bogiem a prawdą, najwięcej dziś pracy i pożytku dają społeczeństwu naszemu ci pracownicy pióra, najdumniej łeb mają jeszcze podniesiony i — pomimo zmudnej walki o chleb, nie zaparli się jeszcze ideałów im przekazanych.

Nie zapomnę okrzyku pewnego ojca-biedaka, nad kolebką nowonarodzonego syna:

— O, gdybyś był tenorem!...

Szczery okrzyk — mówiący kto szybko nie tylko laury ale pieniądze zbiera.

Znam pewnego, nie tenora wprawdzie, bo dotąd jakoś jedenastoletnich tenorów nie mamy — ale jedenastoletniego muzyka, który wybornie gra na skrzypcach, i jest już zaangażowany do Ameryki na dwuletnie koncerty za sumę 200,000 franków. Tacy o kasie pomocy nie myślą.

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

XX.

W Grudowie.

Nazajutrz, za ledwie słońce południe wskazało, już powóz pani Karoliny zajechał przed ganek w Grudowie. Śpieszyła znów do Henrykostwa, z zamiarem zabawienia u nich dni kilku, przypilnowania Henryka, który wydał jej się bardzo mizernym i udzielenia Tosi rad i wskazówek macierzyńskich.

Zastała Henryka, przeglądającego listy, Tosia, przepatrującą żurnale...

— Jakże się masz? jakże się dziś czujesz?—pytała, obsypując syna pocałunkami... Z tobą, Tosiu, pogniewam się—rzuciła z uśmiechem do podbiegającej, — jeżeli Henrykowi syna, a mnie wnuka nie dasz. Prawda Henrysiu, że chciałbyś mieć syna?

— Dla podtrzymania rodu—tak!—rzekł Henryk. Hipolit zdaje się skwitował z małżeństwa.

Pani Karolina rzuciła ręką niechętnie.

— Spał, śpi i spać będzie—odezwała się.

Przelotny uśmiech poruszył usta Tosi.

— Nie namawiam go nawet—przeciwnie, odradzam... Wspominałam ci kiedyś o pewnej obawie... Zgodziłeś się sam!

Henryk skinieniem głowy potwierdził słowom matki.

— Niedolega taki, jak on—niedolega we wszystkim!... — z niechęcią, półszepem dokończyła Grudowska.

Tosia przez rzęsy spuszczonej powiek patrzyła na matkę Henryka, nie dowierzając wcale jej zdaniom, wygłaszanym o Hipolicie. Z opowiadań męża znała go dobrze, a Henryk nie dobiął barw krzyczących, malował kolorami zwykłymi, lecz dał obraz pełen prawdy i życia. Zdumiewała Tosię żelazna wytrwałość Hipolita, zaparcie się wszystkiego dla dojścia do zamierzonego celu, trzynastcie lat nadmiernej pracy, spokojne znoszenie obojętności ludzkiej i zapomnienia. Z opowiadań pani Karoliny domyśliła się jeszcze czegoś: zupełny brak serca dla tego syna — a on ją otoczył wszystkim i nie dał poznać ciężaru, jaki mu nieraz pierś ugniatał.

„Niedolega?...“

Tosia słowo, jak dźwięk pusty o uszy jej się obilo.

Nawet obojętność na uśmiechy kobiece, nie dawała prawa do sądów podobnych. Są drzemające wulkany, śpiące morza, ukryte potęgi, nierozbudzone dotąd iskry piorunowe. To wszystko Tosia widziała w panu Hipolicie i chciała być jedną z budzących potęg.

— Niczem jest igraszka z poddającym się łatwo gołębiem—rozkoszą jest lwa ujarzmić—myślała.

Tosia nie mieszała się do rozmowy matki z synem, lecz powróciła do porzuconych żurnali, nasłuchując, czy czasem turkot jaki niezabrzmiał na brukowanym dziedzińcu pałacu.

Pani Karolina nie spuszczała oczu z twarzy Henryka. Wczoraj jarzące się światła lamp rzucały jakiś odblask różowy na jego policzki, dziś, przy świetle dziennym, wyglądał blade, znużenie i sennie. Palce miał trochę wydłużone, siatkasienawych, jakby nabrzmiałych nieco żył pokrywała ręce, w ruchach nie było tej rzeźkości co dawniej, zdawało się nawet, że mówił powolniej i ciszej...

Uspokoził jednak matkę: czuł się tylko zmęczony, od kilku dni zaś trwający chłód i niebo zaspiane źle wpłynęły na humor. Nic mu nie dole-

ga, nie nieboli, potrzebuje tylko spokoju po nadmiernych wysiłkach zagranicznych podróży, a niech tylko słońce się pokaże i ciepło wróci, nabierze znów sił dawnych i energii. Za parę tygodni zaczną składać wizytysąsiadom, żeby Tosia nie nudziła się, a tymczasem ma nadzieję, że wystarczy jej towarzystwo pani Karoliny i Hipolita.

Niebo zaczęło się wyjaśniać; tu i tam pokazywały się duże szmaty błękitu, i promień słońca czasami rzucał blask jasny na ziemię, jako zapowiedź nadejścia pogodnych i ciepłych dni jesieni.

Pan Hipolit, jak zwykle, wstał rano, a był w doskonałym usposobieniu. Tosia podobała mu się bardzo i rad był teraz z powrotu Henrykostwa, bo okrom Sochackich, miał już dom drugi, w którym chwile wolne od pracy wesoło będzie mógł przepędzić.

Wesołość!

On jej nie zaznał nigdy... wczora jednak był doprawdy wesoły. A cóż jest przyjemniejszego w tem życiu codziennych trosk i kłopotów, choć się samemu nie jest do śmiechu skłonny, jak widzieć wesołe twarze i usta uśmiechnięte, jeżeli jeszcze śmieją się do ciebie i zmuszają do odpowiedzi podobnej?

Tosia pod tym względem jest arcymistrzem.

„Pst! pst!...“

Paradne było to „pst—pst!“

A owa nagroda za rozgrzanie niby zmarzniętych rączek? ta swoboda w obejściu, to gruchanie rozkoszne, ta serdeczność siostrzana?

Zobaczył ją poraz pierwszy w życiu, a zdaje mu się, że to tak dobra, tak dawna znajoma!

„Pst—pst!...“

Nie — ona jedna tylko miała prawo tak zawołać, i ślicznie jej z tem było...

Zaśmiał się sam do siebie — i z kupy papierów wy dostał, rzuconą dawniej, dziś zakurzoną fotografię bratowej i zaczął jej się przypatrywać z uwagą.

Przypomniał, że niegdyś na nią „Szataniaćko“ powiedział.

Ależ nie!... to najdoskonalszy twór Boga, wcielenie piękna, dobroci i serdeczności. Wiedziała o nim wiele, jeżeli nie wszystko, Henryk mówił o samotności, mizantropii, melancholii może, i ona od razu rozproszyła mgły smutków, wyciągnęła pięściwe ręce do niego, stanęła na poufalej stopie, dała tylko warunek dziwny, ażeby jej nie nazywał bratową!

To szkoda!... byłoby mu z tem jeszcze lepiej, czułby się choć raz w kole rodzinnem.

Ale to się zmieni—inaczejby sensu nie było.

Wyszedł z domu i do Sochackich się udał.

Pana Januarego nie zastał, był w polu przy orce. Basieczka z zakasanymi rękawami porała się koło wyrobu serów, a dzieci robiły studnię, nalewały wodę do wygrzebanej jamki, która nigdy wypełnić się nie mogła.

Humor pana Hipolita ucieszył bardzo Sochacką. Nie mogąc podać ręki, którą rozdrabiała w wielkim miedzianym rondlu ścięte mleko, za pomocą zaprawy przyrządzonej z cielecego żółtka, uśmiechała się wesoło, tłómacząc się, że inaczej powitać go nie może.

— Dzień dobry panu dziadziowemu, ale tylko zdaleka, bo ręki wyjąć nie mogę.

— Ja takiego „dzień dobry“ nie przyjmuję — śmiał się pan Hipolit.

— Cóż zrobić?... mleko ostygnie i ser przepadnie, a formy już stoją gotowe.

— To wcale nie przeszkadza pani uczciwie mnie przywitać.

— Jak?

— A tak!

Nachylił się i nastawił czoło do pocałunku.

— Panie dziadziowemu, panie dziadziowemu!—mówiła Sochacka ze łzami w oczach—czy ja spodziewałam się na starość takiego szczęścia dostąpić...

— Że was znalazłem dla ukojenia tęsknoty własnej?—rzekł Grudowski.

— Gadaj pan sobie, gadaj—mówiła Sochacka. Ale w tej pracy naszej, ciężkiej a wyrobniczej, spotykało się tylko spojrzenia z góry rzucone, obojętny ruch głowy był całem powitaniem, a pożegnaniem—lekceważące kiwnięcie. I trzeba było milczeć, by kawałek chleba nie stracić,

choć cię traktowano od acana i acani, i nieraz ten chleb jeść gorzkimi przesiąknięty łzami, bo to nie dwoje starych, zmęczonych tylko naszych sere było. A tu—pan dziadziowemu taki dobry dla nas... Czy to czasami nie jakiś sen, z którego rozbudzić się trzeba będzie?

— O nie, nie—bądź pani spokojna! — zawołał Hipolit. Snem zostało to wszystko co przeszło, cała wasza niedola, kłeski i niezasażone upokorzenia. Czas obecny jest rzeczywistością zbyt jawną, czas jutrzejszy ja trzymam już w ręku... Bądź pani spokojną o siebie i—tych...

Wskazał na dzieci.

Sochacka spojrziała na Grudowskiego.

— Co?... co?... — rzekła powoli, uderzona myślą jakąś, a twarz jej pobladła lekko.

— Co pani jest?—spytał zdziwiony Hipolit.

— Mój Boże... Pan mnie dziwnie rozumiał. Hipolit zaśmiał się.

— Ja pani nie rozumiałem wcale, ja tylko siebie rozumiałem oddawna...

Sochacka drżała lekko.

— Nie—nie... Ja o tem nie myślałam wcale... Przysięgam na Boga, że nie myślałam...

— Ależ i ja o niczem nie myślę — słowo pani daję... Dużego barana chcę tylko działwie pani i to kiedyś zaoferować, a przecie mi pani nie zabroni zrobić prezentu z barana?

— Balan buc!—odezwał się Stasiek.

— Właśnie! baran buc! a babcia nie chce, że bym wam dał barana.

— Baba cie!—rzekł Staś.

— Oj ty, robaku!—zawołał Hipolit.

Porwał malca w objęcia i całować zaczął...

W tej chwili właśnie karetą pani Karoliny wyjechała z bramy i potoczyła się drogą do Grudowa wiodącą.

— Pani wie, że wczora przyjechał mój brat?

— Wiem, panie dziadziowemu.

— Ale może pani nie wie, że mam przesliczną bratową?

— Nic mi pan o tem nie mówił.

— Bo sam nie wiedziałem jeszcze, jaką ona jest, lecz teraz rozpowiadać będę o niej... Żywa jak skra, dobra — jak pani, a przylepka, jak te dzieciaki!...

Sochacka zaśmiała się.

— To jeszcze nie mam o niej zupełnego wyobrażenia...

— No, no, no — niech pani nie udaje skromni-si...

Siedział na stołku naprzeciw pani Sochackiej i kołysał się.

— Mama już pojechała do Grudowa, ja także się zaraz wybieram—mówił. Nie chciałbym jednak przed panią bratową z próżnemi stanąć rękami, a sam nie wiem, co mam jej zawieźć? Najwłaściwiej byłoby — kwiaty... Ale gdzie u mnie kwiaty?... Zresztą, co jej po przewidytych astrach i niedokwitlych różach, gdy grudowska cieplarnia osypie ją całą przepychem swych barw króleskich. Ale, ba!—zawołał nagle...

Klasnął w palce i zerwał się ze stołka.

— Tak! będzie miała kwiaty, jakich nigdy z pewnością w życiu swem nie widziała. Bo, proszę pani, czy taka pieścioszka losu, wychowana na puchu łabędzim, ogrzana atmosferą cieplarnianą, oddalona od życia, jakie my prowadzimy, może mieć wyobrażenie o takiej denderze, blekocie, albo choćby naszej smółce pocziwej?... Wyśmienita myśl mi przyszła do głowy, brawo Hipolitku!... Przed panią Tosią stanę z bukietem, o jakim nie śniło się królowej Madagaskaru... Do widzenia z panią... A prawda!...

Nadstawił czoło...

— O jej, co pan wyrabia, panie dziadziowemu! — zaśmiała się Sochacka, ale pocałowała serdecznie.

Hipolit skierował się w pole po kwiaty dla Tosi, lecz łany ogolone ze zbóż, zbyt obfitego nie przyniosły mu zbioru. Znachodził wprawdzie jakieś kwiatki o barwach nikłych, którychby nawet nazwać nie umiał, ale łodyżki tak były malutkie, że w żadną wiązanekę ułożyć się nie dały.

— To na nic—szepnął, rzucając zerwany drobiazg na ziemię.

Po półgodzinnem wałęsaniu się spuścił się w jar, który w tej stronie piaszczańskie grunta od pół górkowskich oddzielał. Jar był głęboki, ku połudnowi wyższą ścianą zwrócony, powolniej więc tu się rozwijały rośliny, wzrastały leniwiej i później rozkwitały.

Grudowski rozejrzył się uważnie.

Pokrzyw było co niemiara, łopuchów także moc wielka o liściach wspaniałych, lecz z pośród nich wydobywały się białe, żółte, to pasowe czubki kwiatów o kształtach niewybrednych i zapachu, który „aromatem“ trudno byłoby nazwać. Ale lodygi były grube i mięsiste, a liście powycinane tak, jakby dłoń jakiego *partoly* pastwiła się nad niemi.

Tego właśnie chciał pan Hipolit.

— To, to, to—w sam raz bukiet dla pani bratowej... Aha! będzie miała podziękowanie za swoje: pst!—pst!

Rozgarniając nogą krzaki pokrzywy, kopiąc łopiany, brodził po pas prawie w zieloności i układał wiązankę dla Tosi.

Po godzinie uciążliwej pracy wspaniały bukiet znajdował się w ręku Grudowskiego. Zaledwie go mógł objąć, a takie były odeń zapachy, że co chwila głowę odwracał.

— No, bukietisko! — śmiał się, gramoląc się z wężu. Wszystkiego się mogła spodziewać, ale takiego prezentu—nie!...

To mówiąc, rozstawił ręce. Stał już na polu, a przed nim Sochacki.

Pan Hipolit parskał śmiechem, widząc głupio zdziwioną minę pana Januarego.

— Co to takiego, panie dziedzicu? — odezwał się Sochacki.

— Cha, cha, cha! — wybuchnął Hipolit, Sochacki również prychnął raz, drugi i śmiać się począł.

Stali naprzeciw siebie i śmieli się serdecznie... To jeden, to drugi chciał coś przemówić, ale spojrzawszy sobie w oczy, parskali znów śmiechem.

Zaczął Sochacki:

— Komu to, panie dziedzicu, taka kopica?...

— Kopica! — prychnął Hipolit; — przecie to bukiet!

— Bu-u-kiet?...

— Bodaj pana... z tem znawstwem!... Przygotowałem bukiet dla mojej bratowej, a on go kopicą nazwał!

— Nie wiedziałem, panie dziedzicu, nie wiedziałem, — tłumaczył się Sochacki. — Myślałem, że pan to zielsko dla krów zebrał, ot dla fantazyi, żeby więcej mleka dawały...

— Cha, cha, cha! — znowu się zaśmiał Hipolit. Po tej uwadze pańskiej odpada mi ochota zrobienia prezentu pani Teofili. Aleniel!... Gdy pan się zdziwiłeś—coż dopiero ona?...

— Zapewne!... zapewne, panie kochany!

— Tego właśnie chcę!... Ale, gdybyś pan widział, co to za kobiecina serdeczna, jak wczora wysmienicie z nią czas przepędziłem! Mając państwa w Górkach, a ją w Grudowie, zaczęło mi się znów życie uśmiechać...

Wracali do domu, rozmawiając wesoło. Grudowski opowiadał Sochackiemu o wieczorze wczorajszym, był niewytkle ożywiony i jakby odmłodzony. Oczy mu się śmiały, wąsy nawet, zwykle opuszczone na dół, do góry się nieco podniosły. To dodało jakiejś fantazyi panu Hipolitowi i rozjaśniło twarz zawsze posępną. Węgierska pomada niemały wprawdzie udział wzięła w tem ułożeniu się wąsów, ale właścicielowi ich było z tem bardzo do twarzy.

Oczywiście, że pan Hipolit bukietem swoim musiał się pochwalić przed Sochacką.

— Widzi pani? — rzekł, wysuwając go przed siebie.

Sochacka w ręce klasnęła.

— O Jezul! coż to za miotła?

— Myślałem, że choć pani zna się na prawdziwych pięknościach! — zawołał Grudowski. — Gdzie tam!...

Poprosił o sznurek, związał bukiet, położył go na fortepianie, raz wraz spojrzanie posyłając ku niemu.

U państwa Sochackich była to pora obiadowa, pan Hipolit nie dawał się prosić. Sochacki prze-

pił do dziedzica, ten mu odpowiedział i zabrał się do zupy. Apetyt miał wysmienity, co niezmiernie cieszyło gospozię, żartował, figle dzieciom wyprawiał, wreszcie gospodarski obiad czarną zapiwszy kawą, pożegnał serdecznie państwo Januarestwo i ruszył z bukietem do Grudowa.

Turkot kół posłyszala najpierwsza Tosia.

— Pan Hipolit — zawołała — muszę go nastraszyć!...

Zerwała się, zbiegła po schodach i znalazła się na dole. Nagle zatrzymała się zawstydzona nieco, bo Hipolit stał już przed nią i z wdzięcznym ukłonem podawał bukiet.

— A, coż to za oryginalny bukiet! — zawołała.

Śmiech pusty porwał Tosię, a panu Hipolitowi się wydało, że srebrzyste gdzieś odezwały się dzwonki. Ani opamiętał się, jak mu bukiet z rąk zniknął, a swawolna przywłaścicielka, od serdecznego zanosząc się śmiechu, wpadła w drzwi sali, znajdujące się na parterze pałacu...

— Pani, pani, pani! — zawołał Grudowski, wyciągając ramiona za uciekającą. — Proszę tylko być z tym bukietem ostrożną, bo, jak Pana Boga kocham, o nieszczęście nie trudno!...

— Co? co? co? — odezwała się Tosia, wracając do Hipolita, który pośpieszał za nią.

Znaleźli się przy sobie.

— Co za nieszczęście? Czy pan ten bukiet zatrułeś może?...

— E, nie!... ale niepospolitość kwiatów musi się odznaczać niepospolitością własności, o czem muszę panią... Ale, naprzód—czy pani widziała kiedy coś podobnego?

— Nie.

— Widzi pani!

— Domyślam się tylko, że pan te kwiaty zbierałeś gdzieś na drogach rozstajnych.

— W ciemnym, głuchym, ponurym jarze. Nie żałowałem trudu, potu czoła, fatygi rąk i nóg, aby tylko panią czemś niezwykłym obdarzyć. Pomyślałem sobie: kwiatów z oranżeryi ma codzień do zbytku, niechże raz dostanie bukietisko z kwiatów niezwykłych, a raczej nigdy do bukietów nie branych.

Tosia ukłoniła się ślicznie.

— Dziękuję! — rzekła.

Grudowski uśmiechał się.

— Ale muszę pani coś o tych kwiatkach, składających ów bukiet wspaniały, powiedzieć.

— Słucham wykładu, bo po raz pierwszy spotykam się z florą krajową i rada jestem wiedzieć, czem pan mnie obdarza.

— Oto „Kurza ślepota“ — zaczął poważnie Hipolit. — Niech pani nie dotyka tych kwiatków żółtych, drobnych, bo gdyby najdrobniejszy ich pyłek dostał się do oczu, mógłby panią, choć na czas krótki, pozbawić zdolności patrzenia i bałamucenia ludzi. Dalej idzie „Blekot“ z listkami podobnymi do pietruszki, z kwiatkami białymi. Listków tych nie radzę usteczkom pani próbować, bo można dostać niewielkiej fiksacyi i pleść, jak Piekarski na mękach. Tu zaś jest, o pięknych, wonnych kielichach „Dendera“, darząca zdolnością drapania się po ścianach, a oto „Wilezy ząb“, który, jak powiadają, jest wcale dobrym środkiem przeciwko wściekliwości.

Tosia nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Bukiet nad bukiet! — wołała — ale... Czy pan zawsze jesteś tak wesoły?... Mąż mi zupełnie inaczej mówił o panu. Miałeś pan być odludkiem, bez uśmiechu na twarzy, niezdolnym prawie do żartu. Ten podarunek tymczasem jest dowodem czego innego.

— Jest tylko dowodem umiejętności pani... rozbudzania serc śpiących.

Słowa te były wypowiedziane bez żadnej ubocznej myśli, zwróciły jednak uwagę pani Teofili. Pocałunek spojrzeń posłała panu Hipolitowi i, idąc do sal górnych, prowadzona przez niego, wspierała się na jego ramieniu i szeptała:

— Jak to dobrze, że ja mam zdolność taką!...

— Coż Henryk, dziś mniej znużony? — spytał Hipolit.

Tosia odparła z niechęcią:

— On zawsze znużony!

Stłumiła westchnienie i podniosła oczy na pana Hipolita.

Grudowski bardzo polubił ten ruch jej oczu. Długa zasłona z rzęs podnosiła się wtedy i błyskały dwie gwiazdy. Mniej znaczenia przywiązywał do wyrazów pani Teofili, wolał zazierać w te przepyszne zwierciadła jej duszy i czytać w nich wszystko piękne, wszystko dobre i odgadywać te uczucia siostrzane, które chmurny gościniec jego życia przecięły pasem słonecznym. Wzburzyłby się, gdyby ktokolwiek śmiał myśl całkiem inną mu podsunąć; on tak był daleko od niej, jak dziś się oddaliły Hajczyńce od Górek i dla tego pochylał się śmiało ku pięknej twarzyczce Tosi, z całą swobodą chwytając jej uśmiechy zalotne, do ust przytulał jej zaróżowione paluszki i nie krępował ni słów swych, ni spojrzeń, boć braterstwo łamie pewne formułki światowe, a granice wolności rozszerza.

Kaprysy jesieni minęły szybko, nadeszły znowu dni ciche, słoneczne i ciepłe. Z powodu przedłużającej się niedyspozycyi pana Henryka, z wizytami nie wyruszono nigdzie i nikt obcy nie odwiedzał młodych państwa Grudowskich. Pałac otoczył się więc przymaszoną ciszą, pani Karolina przyjeżdżała z rana, a odjeżdżała późnym wieczorem, lekarz przybywał codziennie i z każdym dniem znajdował polepszenie stanu zdrowia pacjenta.

Pan Hipolit także prawie codziennie nawiedzał Grudów. Bywały jednak dni, w których nie pokazywał się zupełnie. Wtedy Henryk wysyłał posłańca do Górek, a Tosia nadąsaną minką witała przybyłego. Ale godzono się szybko, — Hipolit przyrzekał poprawę, a wtedy znów odzywały się śmiechy i harmonia wracała.

— Bałamucicie mnie, kochani braterstwo, a ja nie jestem tak wolnym ptaszkiem, jakby wam się zdawało. Gospodarstwo duże, Sochacki sam nie podola, a ja, pomimo słowa danego pani, czasami skrewić mogę.

Tosia mu pogroziła.

— Czy gniew będzie wielki? — zapytał.

— Śmiertelny!

— Bez nadziei łaski i przebaczenia?

Piękna kobieta zatrzymała wzrok na panu Hipolicie. Patrzyli długo, rozmawiając tylko spojrzaniem. Wzrok Tosi rzucał jakieś pytania, których Hipolit zrozumieć nie mógł, uśmiechał się jednak i wesołym żartem kończył rozpoczętą kłótnię.

Było to w połowie Października, w półtora miesiąca po poznaniu Tosi. Pani Karolina poszła się przepisać, Henryk zdrzemnął się w fotelu, a Hipolit z Tosią półgłosem prowadzili rozmowę. W salonie lekki panował zmrok, bo słońce zaszło, a drzewa parku kładły ostatnie odbłaski oblanego pożarem zachodu nieba.

Hipolit podszedł do bratowej, siedzącej w rogu salonu na malutkim fotelu, wziął krzeselko o złożonych filigranowych poręczach i usiadł przy niej.

— Co pani mówiła do mnie swojemi ślicznemi oczyma, tego nie wiem. Wiem tylko, że gdybym ciężko zgrzeszył, pokuta zadana przez panią nie byłaby uciążliwą, gniew trwałby krótko, a przebaczenie wynodliłbym łatwo.

— To zależałoby od odbytej przez pana spowiedzi.

— Mogę więc naprzód wszystkie grzechy swoje wypowiedzieć, i te, które były, i tenawet, które popełnię.

— A może ja nie chcę spowiedzi z grzechów pańskich? — szepnęła Tosia.

— Więc z czego? — spytał Hipolit. Jeżeli kiedy się spowiadał, to tylko z przewinień.

— Mnie o to wcale nie chodzi.

— A o co?

I znowu pan Hipolit schwycił spojrzenie pytające a niezrozumiane.

— Pani bratowa chce koniecznie wy badać moje zdolności do rozwiązywania zagadek — zaczął.

Tosia poruszyła się szybko i rzekła:

— Bratowa?... a proszę!

— Ach, przepraszam... Ale z kąd taka niechęć do tego wyrazu? — rzucił Grudowski. Koniecznie ma być *pan* i *pani*?

— Tak! *pan* i *pani*... Z tem lepiej nam będzie i... swobodniej — dodała ciszej.

Hipolit się pochylił i spojrział jej w oczy. W tej chwili Henryk poruszył się. Tosia zerwała się szybko i podbiegła do męża.

— Spaleś? — spytała.

— Tak — a wy co robicie?

— Jak zwykle, kłócimy się! — odpowiedziała swobodnie.

— Prawda, że nie zawiodłaś się na nim?

— Jeszcze nie wiem — odpowiedziała ze śmiechem.

— Cóż ty na to Hipolicie? — zwrócił się Henryk do brata.

— Chciałbym, ażeby zawód był jak najprzyjemniejszy.

— O to obawy nie ma — dodał Henryk.

Śłużba wniosła światło, po chwili weszła pani Karolina.

— Jakże się czujesz, Henryku?

— To lepiej, to gorzej... Przeszło od miesiąca już tak. Nasz doktor coś bałamuci i niepotrzebnie mnie trzyma w zamknięciu. Jesień, chwila Bogu, ustaliła się, dni mamy prawie ciepłe — a on, dyabeł wie po co lekarstwami mnie opycha, które tyle pomagają, co umarłemu kadzidło. Zprzyjemnością przejechałbym się konno w towarzystwie Hipolita i Tosi.

— Pani jeździ konno? — zwrócił się do bratowej Hipolit.

— Jak huzar! — zaśmiał się Henryk.

— Ee? — z niedowierzaniem odezwał się Grudowski. Takie piórko na grzbiecie konia — toż wiatrby je zdmuchną!

— To piórko tak się mocno przyczepić potrafi, że nie łatwo z nim dać rady — zaśmiała się Tosia.

— Nie wierzę, nie wierzę — żartował Hipolit.

— Przejeżdż się z nią kiedy, to się przekonasz — rzekł Henryk.

— Przekonam się, że piórko polecą.

— Zobaczymy — odpowiedziała Tosia.

— Będę miał prawdziwą przyjemność łapać je w powietrzu — dodał Hipolit.

Wieczorem nadjechał doktor, pozwolił Henrykowi wyjść do ogrodu, lecz przejażdżki konnej zabronił.

Minęło dni parę. Pan Henryk przechadzał się po parku z żoną i matką, Hipolita nie było. Zapowiedziawszy Tosi, że bardzo lubi jej minkę nadąsaną, nie przyjechał. Tosia nie wierzyła temu postanowieniu, ale gdy jeden i drugi dzień minął, przekonała się, że pan Hipolit dotrzymał niepożądaną wcale obietnicę. Układała więc sobie w myśli sposób przywitania uparciucha, ale dni sześć z rzędu ubiegło, a koczobryk Hipolita nie zadudnił na pałacowym dziedzińcu. Pani Karolina, aczkolwiek codziennie powracała do Górek, nic o panu Hipolicie powiedzieć nie umiała. Nie zachodziła wcale do niego, a życie jakie wiódł, żadną nie napelniała ją trwogą. Parę razy, do Grudowa jadąc, widziała go na gruntach Piaszczańskich pilnującego siewaczów. Co chwila zjeżdżali kupcy na zboże, zamykał się z nimi w swym gabinecie, pisał kontrakty, brał zaliczki, to, chodząc po dziedzińcu przed domem, naradzał się z Sochackim, oczywiście o gospodarstwie rolniczym. Raz tylko jeden wyjechał do gubernialnego miasta, a zapytany przez matkę, rzekł:

— Pierwszy pieniądz z dochodów wzięty złożyłem w banku. Rok ten dał mi dziesięć tysięcy czystego zysku, następne lata dadzą więcej.

Pani Karolina uczyła ukłucie w serce.

Henryk właśnie część lasów dziadyszkowskiich sprzedał Ziemanowi.

Miała stałe postanowienie rozmówienia się z Hipolitem w kwestyi przelania fortuny jego na rzecz Henryka. Dziś jednak uczynić tego jeszcze nie mogła. Widząc pracę syna, wydatność ziemi, wiedziała, że za lat kilka Hipolit będzie posiadaczem najmniej pięćdziesiąt-tysięcznego kapitału.

To mu wystarczy.

Wtedy wspomni o konieczności podniesienia blasku rodu Grudowskich, tem bardziej, że fortuna Henryka obciąża się długami, a Hipolita

dobrze, prędzej czy później, przejdą na brata lub jego potomków. Sam przecie o tem był wspomniał. Lepiej więc wcześniej dokonać tego dzieła, niż później, gdy z natury rzeczy zwiększające się ciężary majątku Henrykowego, zaciążą już na Górkach i Piaskach.

Niepokój ją trapił, lecz musiała uzbroid się w cierpliwość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODCZYTY.

VI.

Adam Szawłowski. „O roli kobiet i salonów w XVIII-ym wieku.“

(Dalszy ciąg).

Przechodząc do bliższej charakterystyki salonów paryskich XVIII wieku, prelegent podniósł przedewszystkiem zasługi margrabiny de Lambert, która pierwsza dokonała zbliżenia wybranej garstki wybitnych umysłów w szerokiemi kolami wykształconego towarzystwa i wytworzyła po raz pierwszy w salonie — ognisko opinii publicznej. Nie zatrzymując się nad przytoczone mi przez p. Sz. szczegóły biograficznymi z życia tej wybitnej kobiety, zaznaczymy tylko, że zalety jej umysłu i serca ilustruje znakomicie pozostawiony przez nią traktat moralny pod tytułem: „Wskazówki matki dla syna i córki.“ „Nic nie jest mniej rozumem — czytamy tam między innymi — jak wychowanie, które dają młodym osobom, przeznaczając je do tego tylko, aby się umiały podobać. Uczą je tylko rzeczy, sprawiających przyjemność, podniecają ich miłość własną, oddają je na łup bezczynności, świata i fałszywych poglądów, nie dają im nigdy lekcji cnoty i siły. Mylnem bardzo, a nawet szaleństwem jest przypuszczać, że podobne wychowanie nie zwróci się przeciwko nim samym.“

Pani de Lambert, począwszy od roku 1700, urzędowała stale przez lat 33, we wtorki i środy po południu, przyjmując w swej wspaniałej rezydencji, w jednym ze skrzydeł hotelu Mazarin przy ulicy Richelieu, dla literatów, uczonych i ludzi wykształconych z wielkiego świata. W salonie jej można było spotkać Fontenelle'a, Lamotte'a, Fenelon'a, Hénault'a, a z kobiet — tłumaczkę Homera, panią Dacier, marszałkową de Vilars Adryannę Le Couvreur i wiele innych. Salon ten godnością swoją protestował przeciwko wybrykom pałacu Regenta; między innymi, jak świadczy Fontenelle, było to jedyne miejsce, w którym zdołano się uchronić od epidemicznej choroby gry w karty. Inny zaś biograf pani Lambert, a mianowicie Lescure, wyraża się o niej, że pierwsza ona wyrosła na potęgę społeczną, literacką, akademicką, pierwsza rządziła modą, kierowała gustem, nadawała ton i ze swego wachlarza zrobiła berło konwersacji. Jej talent, według tegoż autora, był równie czysty, jak jej życie, jej wpływ równie szlachetny, jak jej serce.

Pobieżnie dosyć załatwił się prelegent z salonem margrabiny de Tencin, podnosząc głównie tę jej zasługę, na którą zwrócili uwagę bracia Goncourtowie, według których salon ten był pierwszym we Francji, gdzie gość był przyjmowany stosownie do swej wartości wewnętrznej. Niewiele zwłaszcza dowiedzieliśmy się z odczytu o ciekawej z wielu względów osobie samej pani de Tencin, umiejacej tak dobrze łączyć wysokie zalety towarzyskie z brakiem wyższego poczucia moralnego, występującym w sposób jaskrawy w jej stosunku do księcia Regenta, do ministra Dubois, a głównie do własnego syna, słynnego później uczonego d'Alemberta, w dzie-

ciństwie jeszcze niegodnie porzuconego przez matkę.

Po śmierci pani de Tencin w r. 1749, zasłynęły głównie salony filozoficzne margrabiny Du Deffand i pani Geoffrin. W pierwszym z nich do najwybitniejszych gości należeli: znakomity autor „Ducha praw“ (*L'esprit de lois*), Montesquieu, oraz wspomniany przed chwilą d'Alembert. Margrabina utrzymywała stałą korespondencję ze współczesnemi znakomitościami naukowemi, między innymi z Voltaire'm, którego dzieła zakazane rozpowszechniała z zapalem. Salon jej był gruntem neutralnym, na którym tak zwany wielki świat stykał się bezpośrednio ze światem uczonych. Pani Du Deffand czytała dużo, co nastroczało jej mnóstwo ciekawych tematów do rozmowy, uchodziła też za mistrzynię w umiejtności kierowania konwersacją. Wadą jej towarzyską była tylko pewna złośliwość, lecz wadzie tej właśnie zawdzięczamy mnóstwo jej doskonałych *bons mots* o ludziach i ich dziełach, które przeszły do historii literatury i, jak się wyraża Porębowicz, często trafniej charakteryzują rzecz, niż najdłuższe określenia.

W dalszym ciągu p. Szawłowski zatrzymał się obszerniej nad znanem zajściem między panią Du Deffand a roztaczającą dziwny czar dokoła, chociaż nie odznaczającą się wcale urodą, lektorką jej, nieszczęśliwą panną de Lespinasse, nazwaną później przez Sainte Beuve'a uosobieniem „Nowej Heloizy.“ Epizod, jak wiadomo, zakończył się otworzeniem przez pannę de Lespinasse osobnego, skromnego bardzo salonu przy ulicy de Belle Chasse, do którego zresztą pociągnęła ona wszystkich wybitniejszych gości pani Du Deffand.

Młoda gospodyni posiadała dziwną umiejtność sympatyzowania, współczucia z każdym, kogo raz widziała bliżej siebie. Nikt, jak zapewnia jeden z jej gości, La Harpe, nie umiał lepiej czynić honorów domu. Panna de Lespinasse, zdaniem jego, posiadała wielkie wyrobienie światowe i najprzyjemniejszy rodzaj grzeczności, grzeczność, okazującą wszystkim zainteresowanie. Przyjmowała codziennie od 5-ej do 10-ej, a bywali u niej wszyscy najwybitniejsi ludzie owej epoki, jak Turgot, de la Rochefoucauld, Condorcet, Mably, Condillac, La Harpe, Marmontel, nie mówiąc już o nieodstępnym d'Alembencie, zarówno uczeni, jak poeci, dyplomaci i artyści, i przy szkłance wody lub filiżance czarnej kawy przepędzali codziennie po kilka godzin w atmosferze entuzjazmu, udzielającego się wszystkim od tej namiętnej i wyniosłej duszy.

Tajemnicę tego dziwnego wpływu panny de Lespinasse na otoczenie, złożone z takich wybitnych jednostek, stały również bywalec jej salonu, baron Grimm, widzi „w trudnej a tak cennej sztuce uwydatniania rozumu i dowcipu innych,“ oraz w umiejtności łączenia najróżnorodniejszych umysłów. Stanowisko, zdobyte przez nią lektorkę pani Du Deffand, jest, jak słusznie zauważył prelegent, najwymowniejszym dowodem niesłychanej potęgi inteligencji w łonie ówczesnego społeczeństwa francuzkiego.

W tym samym czasie pierwszorzędnego znaczenia nabrał salon pani Geoffrin, którego sława rozszerzyła się daleko poza granicami Francji. Pani Geoffrin, osoba bogata, lecz nie dorównująca wykształceniem takiej np. margrabinie de Tencin, wzorując się na salonie tej ostatniej, do którego wstęp zawdzięczała wrodzonemu sprytowi i urodzie, postanowiła stworzyć w swoim własnym domu podobne ognisko i, dając do urzeczywistnienia tego zamiaru z niezwykłą wytrwałością i konsekwencją, zdołała wreszcie, po śmierci męża swojego i pani de Tencin, dopiąć celu w zupełności. Dwa razy na tydzień urzędowała wielkie obiady: w poniedziałki dla artystów, jak Boucher, Soufflot, Vanloo, Vernet i inni, we środy dla uczonych i literatów, jak d'Alembert, Mairan, Marivaux, Marmontel, Morellet, Helvetius, Grimm, Holbach i wielu innych. W tych ostatnich brała również udział znana nam już panna de Lespinasse, jako jedyna, oprócz gospodyni domu, przedstawicielka płci pięknej.

Pani Geoffrin, kobieta bez żadnego prawie systematycznego wykształcenia (była córką garderobianego Delfiny), zawdzięczała swe wyjątkowe stanowisko w ówczesnym towarzystwie francuzkiem niezwykłej praktyczności i trzeźwości umysłu, oraz umiejętności grupowania dookoła siebie i godzenia najsprzecznějších żywiołów. Dzięki tym przymiotom, dzięki ogromnej umiejętności przystosowania się do otoczenia, w krótkim przeciągu czasu stała się ona, według wyrażenia Sainta Beuve'a, administratorem i prawie ministrem towarzystwa i wobec ukochanych filozofów, grała chętnie rolę „mameczki,” choćby dla przyjemności zrzędzenia i narzucania im swej opieki, którą roztaczała aż do szczegółów gospodarstwa i garderoby.

Prelegent, charakteryzując tę jedyną w swoim rodzaju postać niewieścią, powołał się na sąd Marmontela, który ją znał doskonale. „Bez żadnej oglądy w sztukach i literaturze—mówi ona—ta kobieta, która w życiu niczego nie uczyła się gruntownie i czytała tylko urywkowo, czuła się zupełnie swobodną zarówno w towarzystwie artystów, jak uczonych lub literatów, a to dla tego, że miała ten rozum, żeby mówić tylko o rzeczach, znanych jej doskonale, o reszcie zaś pozostawiać pole do mówienia ludziom wykształconym.“ Co więcej, z czasem tak się wyrobiła w tem towarzystwie pierwszorzędnych umysłów, że z najwyższą zręcznością kierowała rozmową, nie dopuszczając nigdy w swym salonie do żywszego sporu, „jednym *voilà qui est bien*, zatrzymując rozgrzanych lub tylko podnoszących głos przeciwników.

Oprócz uczonych, literatów i artystów miejscowych, ulubionymi gośćmi salonu pani Geoffrin byli wszyscy wybitniejsi cudzoziemcy, którzy w tym czasie stale lub chwilowo bawili w Paryżu. Oni to właśnie roznieśli szeroko po świecie sławę jej zebrani i uczynili dom jej znanym w całej Europie tak, że ktokolwiek wybierał się do Francji, starał się przedewszystkiem o listy polecające do pani Geoffrin. Ona ze swej strony dbała bardzo o dobrą opinię u obcych znakomitości i podtrzymywała z nimi obszerną korespondencję, dzięki której goście jej byli zawsze informowani z pierwszego źródła o tem, co się działo zagranicą w polityce, nauce i sztukach pięknych. Pod tym względem salon pani Geoffrin odgrywał rolę dzisiejszej prasy periodycznej, która wówczas miała jeszcze szczupły bardzo zakres wiadomości z dziedziny życia innych krajów.

W r. 1753 jednym z takich gości zagranicznych pani Geoffrin był młodzieńcy wówczas Stanisław August Poniatowski, który jej się przedstawił z rekomendacją znanego jej również i wysoko ją ceniącego ojca swego, kasztelana krakowskiego. W ciągu pięciu miesięcy swego pobytu w Paryżu, późniejszy król polski doznawał ze strony pani Geoffrin opieki najtroskliwszej, nazywał ją stale matką, a córkę jej siostrą, spowiadał się przed nią z każdego kroku i nieraz, jak świadczy Grimm, musiał prosić o przebaczenie z powodu sprawowania swego, które surowość macierzyńska pani Geoffrin nazywała konduktą zapamiętałca...

Stosunek serdecznej przyjaźni między Stanisławem Augustem a jego przybraną „mameczką“ utrzymał się i po wyjeździe kasztelana do kraju i nie uległ zmianie nawet wtedy, gdy na czole młodego „zapamiętałca“ zabłysnęła korona królewska. Korespondencja między Poniatowskim a panią Geoffrin, prowadzona z małemi przerwami do jej śmierci, wydana została w roku 1875 przez hrabiego Karola de Mouij. Prelegent przytoczył z niej kilka ciekawych wyjątków i zatrzymał się obszerniej nad podróżą pani Geoffrin do Warszawy, przedsięwziętą w r. 1766 na serdeczne zaproszenie królewskie. Podróż ta wywołała wprawdzie ogromne zdziwienie wśród przyjaciół siedmdziesięcioletniej i blisko starszki, która od śmierci męża nie opuszczała nigdy dłużej, jak na 24 godzin, mieszkania swego przy ulicy St. Honoré, lecz była zarazem prawdziwym nochem triumfalnym przez kraje przebywa-

ne, których monarchowie, nie wyłączając cesarzowej Maryi Teresy, starali się okazywać gościowi paryżkiemu największe grzeczności i względy.

Z mnóstwa dobrych uczynków, spełnionych za życia przez panią Geoffrin, prelegent podniósł słusznie pomoc, okazaną przez nią pomnikowemu wydawnictwu XVIII wieku, słynnej Encyklopedyi, której dalsze tomy, po dekreście królewskim z roku 1759, odwołującym wydany na nią przywilej, ukazać się mogły jedynic, dzięki wydanemu przez panią G. poręczeniu na olbrzymią sumę 300,000 liwrów.

W obszernym, rozwlekłym nawet, zdaniem naszym, ustępie odczytu, poświęconym pani d'Epina y i jej otoczeniu, p. Szawłowski, opowiadając szczegółowo historię tej głośnej w swoim czasie przyjaciółki Grimma i przytoczywszy parę zaczerpniętych z jej pamiętników przyczynków do charakterystyki obyczajów współczesnych, zapoznał następnie słuchaczy z osobą redaktora „Korespondencji literackiej,” wydawanej, jak wiadomo, przez Grimma w kilkunastu egzemplarzach, kopiowanych odręcznie i rozsyłanych wyłącznie na dwory panujących, którzy tym sposobem mieli z pierwszej ręki wierny i bardzo szczegółowy obraz ruchu filozoficznego, literackiego i artystycznego „stolicy świata.“

Malując stosunek pani d'Epina y do Jana Jakóba Rousseau, prelegent nie unikał rażącej jednostronności, która znalazła wyraz w szeregu niepoehlebnych epitetów („przewrotny,” „obłudny,” „wstrętny,” „godny pogardy,” „bożek na glinianych nogach, stworzony przez zaślepionych wielbicieli“ i t. p.), spadających co chwila w tej części jego odczytu na zasłużoną głowę autora „Umowypolecznej,” „Nowej Heloizy“ i „Emila.“

Jest to dziwny dosyć sposób traktowania ludzi tej miary, co znakomity myśliciel genewski, tem dziwniejszy, że sam prelegent przyznaje, iż, oceniając Rousseau'a, trzeba koniecznie odróżniać w nim autora od osobistości moralnej. Przedstawiając w najczarniejszych barwach charakter wielkiego pisarza, pan Sz. charakterystyce tej nie przeciwstawia wcale jego wiekopomych zasług literackich i wysoce humanitarnych dążeń, zapominając o tem, że przemawia wobec audytorium, któremu terzeczy mogą być obce zupełnie. Z odczytu jego można było odnieść wrażenie, że Rousseau był to sobie taki przewrotny, obłudny, wstrętny i godzien pogardy jegomość, któremu, niewiadomo za co, potomność oddaje cześć i pomniki stawia.

A przecież nam dziś, po stu latach, mogłyby chyba przestać zatruwać życie nieporozumienia wielkiego pisarza z „przyjaciółką“ Grimma lub choćby nawet jego niewdzięczność najczarniejsza w stosunku do pani d'Epina y i dziesięciu innych pań, do niej podobnych, i wypadłoby raczej poważniej zastanowić się nad tem, co po nim w spuściźnie otrzymała cywilizacja i ludzkość—i za co mu wdzięczną być winna.

Jak dziwnie zresztą brzmią dzisiaj namiętne zarzuty p. Szawłowskiego, wobec przytoczonego przezeń napisu na tablicy pamiątkowej dla Rousseau, gdzie pani d'Epina y, wspominając o swych nieporozumieniach z wielkim pisarzem i myślicielem, dodaje krótko: „Dziś czytam cię tylko, *podziwiam* i wszystko już zapomniane!...“

Nie dla wszystkich, niestety.

Wł. Bukowiński.

(Dokończenie nastąpi).

Mściwoj

Księżę Obotrytów

TRAGEDYA W 5-ciu AKTACH

napisał

Jerzy Osfoja.

(WYJĄTEK).

OSOBY:

Volkmer biskup brandenburski,
Teodoryk książę saski,
Bernard margrabia północny,
Kuno rycerz,
Oldrzych mnich, Słowianin,
Teodora córka Teodoryka,
Gertruda jedna z kobiet jej dworu,
Rycerze niemieccy, Kobiety.

Rzecz dzieje się w roku 983 po śmierci cesarza Ottona II-go za regencji cesarzowej wdowy Teofano.

AKT I-szy.

(Scena przedstawia dużą salę w stylu romańskim. Kilka krzeseł niskich i ławki pokryte poduszkami. Z boku pod ścianą podwyższenie w rodzaju tronu).

SCENA 1.

(Sala pełna rycerzy, którzy siedzą częścią na ławkach, częścią grupami na ziemi. Kilku starszych na krzesłach naprzeciw podwyższenia; między nimi Bernard. Na podwyższeniu siedzi biskup Volkmer, obok niego stoi Teodoryk).

TEODORYK.

Zanim pozwolim słowiańskiej nawale
By w puch się starła u skał tego zamku,
Lub od skał twardszej zbroi naszych stali;
I nim nam przyjdzie znieść rozpędem koni
Zgrają niesforną, niezbrojną, niezdarną,
Z setkami wodzów a bez żadnej wodzy,
Jak stado wilków pędzącą do boju:
Przychodzę dzięki złożony wam książęta,
Margrafy, grafy i inni rycerze
Za pomoc dzielną goście dać mi przyszli.
Lecz nie mnie tylko,—całemu cesarstwu,—
Bo nie dla zysku mojego lub chwały
Was przywołałem.
Jam jest cesarstwa sługa, mnie postanowił
Pan mój na krańcu wschodniej, ciemnej dżicy,
Bym strzegł tej ziemi i bronił w niej prawa
A więc i ruszyć ich nieдам nikomu,
Tak mi dopomóż wszechmogący Boże!
Lecz cięży jarzmo praw słowiańskim karkom.
Ileż już razy stłoczyłem ich stopą,
Szyję warownych miast zgmiotłem obrozą,
Do ciężkiej pracy zaprzęgałem pługą!
Daremnie! Ledwo świeży wiatr powieje
Skądś ten naród znów czerpie nadzieje,
Jak strzecha nagłym płomieniem wybucha,
I targa więzy swojego łańcucha.
I dzisiaj, w ciężkiej dla cesarstwa chwili,
Lirników śpiewy znów im krew zagrzały;
Biegają posły z Betry do Arkowy,
Już miast się naszych czepiają pożary,
Już Obotrytów lud podnosi głowę,
Czeka powrotu swojego Mściwoja.
Tego książęcia chowałem jak syna;
U stołu mego siadał, obyczaję
Nasze przyjmował i cesarskiej łaski
Dopiąwszy, prawie druhem naszym został;
W italską poszedł z cesarzem wyprawę,
Pochlebstwy serce jego dobre zjednał,
I dobrodziejstwy osypał go cesarz.
Chrześcianaństwo przyjął,—na cesarską prośbę
Węzły krewieństwa połączyc nas miały:
Córke już oddać miałem mu za żonę.
Dziś wraca krzyżem naszym naznaczony

A wznosi k'niemu pogaństwo swe dłonie!
Jam jego wspierał, i chciałem z nim zgody,—
Chciałem—lecz łaski nieczyjej nie gonię

Bo kto na naszej ziemi, nasz być musi.
A na tej ziemi pieczęć położona
Zdobyczy naszej: krwi niemieckiej znamię.
Biada kto ruszyć by chciał tej pieczęci!
Od Alpów śniegu po Bałtyku wody
Turor teutoński jak piorun wystrzeli,
A kto się temu ostoi gromowi?

Więc was zwołałem, by raz ostateczny
Złamać te karki, co się zgiąć nie dają,
Zgnieść ich stopami, nim siły swe zbiorą,
I wieczny znak postawić na ich ziemi,
Że źle na Niemca grozną patrzyć twarzą.
Niech im się straszny monument ostoi,
Z ich ciał poległych, ze zgliszczów pożogi;
Że Niemiec, Boga jednego się boi!
Boga jednego, innej niezna trwogi!

(Rycerze zrywają się z miejsc,—szczęk broni, hałas, okrzyki).

Bóg z nami! Na Słowian! na Słowian!

BERNARD.

Hej, żyj mi długo mój waleczny druha!
Walczyłem z Węgrem, Włochem i Słowianem,
Po takiej mowie walczyłem z szatanem!
Hejże, niemiecka krew dzielna, a Bóg z nami!

(Wielki ruch na scenie—powtórnie okrzyki).

Bóg z nami, Bóg z nami!

RYCERZE (porywają Teodoryka na ręce i obnoszą go po sali ze śpiewem).

Niechaj nam żyje, niechaj nam żyje, niech dłu-
go żyje nam!

TEODORYK (wraca na miejsce i daje ręką znak. Rycerze siadają).

VOLKMER (wstaje).

I ja rycerze, porzuciłem cichą
Stolicę moją, i Boga ołtarze,
I księgi moje, starości osłode,
Kapłanów zastęp, których ducha zbroję
Codziennie w wiary świętej puklerz złoty;
I tu przybywam, gdzie bojowe gwary,
A nie kościelnych hymnów zabrzmia dźwięki.
Od dzikich pogan, przybywam, wygnany,
By błogosławić was na ten bój święty!
Bo święte dzieło wy spełniać idziecie!
I miecze wasze tak dziś wzrosły w cenie
W oczach niebiosów, że krzyż święty miejsca
Im ustępuje!

Bo jest czas gniewu, i jest czas litości,
I gdzie upada dzieło Bożej łaski,
Bożego gniewu niech uderzą gromy!
Bo użyźnialiśmy i krwią i znojem
Ten grunt jałowy, bujny tylko w chwasty,
I cień złej woli, i pogaństwa jady.
I padał prawdy siew przez nasze usta;
Siał Bóg—a szatan zbierał kłamstwa żniwo.
Bo chrzest na czoła swe brali plugawe,
Krzyż całowali bluznierczemi usty;
A ledwo ucisk zmiekkł karzącej dłoni,
Jak z węzów łaźla z nich skóra pokory,
Plwali na święty znak, i krwią męczeńską
Broczyli Boga skalane ołtarze!

Więc jak kapłanów, posłańców pokoju,
Błogosławiłem mą niegodną dłońią,
Tak innych posłów, w tejsze świętej sprawie,
Was, sługi pomsty bożej, błogosławię!
(Robi znak krzyża).

Błogosławieństwo boże niechaj spłynie
Na was, i wiecznie pozostanie z wami.

TEODORYK.

Więc wiecie gdzie już rozesał zagony,
Gdzie czujne w okół porostawiał strażę;
I choć sił swoich jeszcze nie zebrali,
Wiem już gdzie najpierw uderzyć z mą siłą.
Lecz jeszcze nie czas boju; dzisiaj nasze.
Więc dziś przyjmijcie ucztę w moim domu,
I niech sił, młodzień, w turnieju dokaże.
Nim jutro siły zetrze z wrogiem w boju.
Bo tak rycerstwa przykazuje cnota:
W boju, waleczność, przed bojem ochota.

(Schodzą z podwyższenia do giermka).

Córkę mą wołać!

VOLKMER.

Córka wasza Panie,
U cesarzowej przebywa dworu;
Toż nauk polor, i ogłady wdzięki
Przedziwnym blaskiem ozdabiać ją mają

TEODORYK.

Stroją tam umysł w nauki świecidła.
Lecz cesarz umarł;—panem naszym dziecko,
A cesarzowa dziś nie patrzy kobiet;
Bo sprawy państwa idą po kądzieli;—
Więc córkę nazad odwiozłem do domu.

BERNARD.

A cóż? Mściwoja jeszcze nie schwytano?

TEODORYK.

Wiem już, któremi nas wymijają drogi,
Więc ze trzech stron nań dają trzy oddziały,
Umarłym albo żywym mieć go muszę.
A słaba przy nim Obotrytów garstka,
W służbie cesarskiej siła ich poległo,
Więc nie obroni się; lecz nie mam wieści.

(W ciągu ostatnich słów wchodzi Teodora).

SCENA 2.

(Ciż, Teodora, Gertruda, Kobiety).

TEODORYK.

Bądź mi dziś panią domu Teodoro,
I przewodnictwo daję ci turnieju.
Ten łańcuch złoty zawieszisz na szyi
Najdzielniejszemu, ty mu podasz puchar
Przy tobie w uczcie miejsce jego będzie,
Byś mu usłużyć mogła.

TEODORA.

Dobrze, ojezel!

(Na stronie).

Teraz wesolą być, teraz ucztować!
O cicho serce!

GERTRUDA.

Biedna ty, spokojnie!

TEODORA.

Męka, i męka i uśmiech uprzejmy!
Na to kobiety Bóg stworzył!

GERTRUDA.

Pamiętaj,
Bóg kochającym łaskawy, a Mściwoj...

TEODORA (szybko).

Ach, nie wymawiaj tu jego imienia!
O, śmiać się z niemi, słuchać żartów wstrętnych,
I krzyk boleści co za gardło chwyta
Przemieniać w gładkie przymilenia słowa!
Skało niewoli, co mi tłoczysz duszę,
Nie daj się falom, które wrą pod tobą,
Ciężarem głazu stłum tych burz zatargi;
Ucisz się serce, uśmiechnijcie wargi!

(Uprzejmy, niski ukłon ku rycerzom—wychodzą).

SCENA 3.

(Podczas tej sceny powinien być szmer rozmawiających i grupami wychodzących rycerzy, tak, że dopiero z końcem jej sala się opróżnia a Bernard, który dotąd rozmawiał, zbliża się do pozostałych: Teodoryka i Volkmera).

VOLKMER (na prozdzie sceny).

O słowa wasze krzepią serce trwożne,
Ale niepokój, jakby gość natrętny:
Wygnany, wraca. Piękne to rycerstwo,
Lecz mała liczba ich.

TEODORYK

A czyż nie stanie
Szereg, zakutych w twardą stal rycerzy,
Na całą zgają bezrządną, wpólną,
I chcąc jednym wściekłości momentem
Złamać lat długich boju doświadczenie?

VOLKMER.

Ach, lecz ich wściekłość jak rannego zwierza;
A płomień buntu w głąb ich puszcz zabiera;
Z siół, miast, chat, lasów, jak drobne strumyki
Garstki wychodzą z bronią lub bez broni,
I w jeden wielki zlewają się strumień.

TEODORYK.

Nie bój się, spadniem na nich nim się zleją.
I sądzę, że ich zapal się ochłodzi,
Gdy ujrzą jak miecz kary szybko chodzi;
A węzeł zemsty, co ich dziś jednoczy
Nasz sprzymierzeniec, czerw niezgody stoczy.
Bo w pierwszej chwili zawiedzionej dumy
Wnet szal podejrzeń miesza im rozumu,
A dłoń co miecz już wzniosła, bez sił spada,
Gdy ucho trąci drobne słówko: „Zdrada!“

SCENA 4.

(Wchodzi Kuno—zanim Oldrzyk).

TEODORYK.

Z czem ty?

KUNO.

Ot, panie, poseł od Mściwoja.

TEODORYK.

A gdzież sam książe?

KUNO.

Wie go dyabeł panie.

BERNARD.

Jeżeli książe tak chudo karmiony
Jak posłów swoich karmi i ubiera
To nieszczególny kasek dla twych ludzi

TEODORYK.

Nieufaj, to jest różnobarwny człowiek.
(Do Kuna).

Przybliź się Kuno. Co to jest za poseł?

KUNO.

Mnich?—czy czarownik? Kto go wie? coś mruczy,
Ale nie mówi nic.

VOLKMER.

I nie powiedział

Gdzie jego książe?

KUNO.

My chcieli by mówił,
Ale on stare ścierwo da posiekać,
A nic nie powie. Musiałem tu przywieść

BERNARD.

Za kark psa bracie, to już coś wyskomli.
(Do Oldrzycha).

Ty, słuchaj, gdzie jest Mściwoj?

OLDRZYCH.

Teraz nie wiem

BERNARD.

Ale gdzie był gdyś go opuszczal?

OLDRZYCH.

Tego

Mówić nie mogę, bom przyrzekł.

BERNARD.

Ty strachu

Niemasz przed śmiercią?

OLDRZYCH.

Nie mam

BERNARD.

Starzy ludzie

Lubią żyć długo;—a śmierć ma być przykra;—
I, pojdziesz, żartów nie ma w naszych czasach.

OLDRZYCH.

Panie, jam długi żywot spędził w lasach;
A tam, gdzie pełnią życia świat oddycha,
Tam śmierć chodziła, spokojna i cicha
I gdzie musnęła skrzydłem swem w powiewie,
Tam głodny ucichł wilk, sechł liść na drzewie,
Drobny słowiczek, z skrzydły skostniałemi
Spadał z gałęzi, jakby grudka ziemi:

Ale nie było tam płaczu ni lęku,
Bo niosła ona, w swoich świętych ręku,
Balsam, mocniejszy nad cudowne soki,
Co koł rany ból, wyjął głęboki
Ostróg żądz z piersi, co w wnętrznościach wierci.
Więc czemuż, panie, miałbym się bać śmierci?

(Chwila milczenia).

TEODORYK.

Proszę Bernardzie, widzisz mam zabawę,
Zastąp mnie chwilę w igrzyskach i uczie;
Kobietom samym trwożnie i nieskładnie.

BERNARD.

Idę,—toż musi tam już być wesolo.

(Do Volkmera półgłosem).

Wielebny, macie wy święconą wodę?
Ten jeszcze gotów nas tu zaczarować
Na rude myszy. Chodźmy!

(Nucąc piosenkę odchodzi).

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W Krakowie, „Kóło artystek“ pod przewodnictwem p. Boznańskiej, zaszczytnie znanej malarki, urządza w Czerwcu wystawę prac samych kobiet artystek. Wystawa zapowiada się bardzo pomyślnie i zajmująco, około stu prac już jest zapowiedzianych przez nasze malarki mieszkające we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Monachium, Paryżu i t. d. „Kóło artystek“ rozwija bardzo ruchliwą i praktyczną działalność, skupiając siły kobiece w jeden systematyczniejszy ruch i jednocząc pracownice na polu sztuki z ich dotychczasowej rozsyпки, w grono prawdziwie koleżeńskie. Kierownictwo p. Boznańskiej jako wybitnej artystki wróży towarzystwu szczęśliwy rozwój w przyszłości pod każdym względem.

— W Krakowie również otwartą jest obecnie wystawa „Pracy kobiet“ w sali strzeleckiej. Komitet, na którego czele stanęła panna Marya Siedlecka prezesowa Czytelni dla kobiet urządził wystawę umiejętnie i estetycznie, a przytem z dobrym ładem, tak, że zwiedzający trafia się odrazu na typowe przedmioty. Prezydent miasta Friedlein wystawę otworzył gorącym przemówieniem. Pani Popławska, autorka wielu dzieł dla młodzieży, podziękowała za udział rady miejskiej i wielu kół obywatelskich za poparcie niewieściej pracy. W salach pięknie przystrojonych makatami pomieszczono pawilony i ekrany pełne robót, od najprostszyc do najartystyczniejszych. Zwracają uwagę pawilon „panieński“ i „pań“, pełne gustownych szczegółów i ładnych pomysłów sztuki stosowanej. W wypalaniu na drzewie celują panie: Anna Jasińska, Marya Rohozińska i Marya Włodarska, której prace są istotnymi okazami sztuki. Dalej mieszczą się obrazy szkoły robót w Wieliczce, włóścianek z Humenowa (Kalusz) Stowarzysze-

nia hafciarek w Makowie, pań z Krakowa, Poznania, Tarnowa, Lwowa i t. d. Wystawa jest bogata i różnolita, tak że z prawdziwą przyjemnością stwierdzić można, że ręce kobiety umieją jednak nie tylko obszyć siebie i dzieci, ale w ręczną robotę włożyć prócz niestrudzonej cierpliwości i gust i poczucie piękna niepospolite i myśli natchnienie. Im więcej rozwijać się na tem polu będą motywy swojskie, ludowe, czego już ta wystawa daje bardzo piękne początki, tem całość kobiecej pracy stanie się donioślejszą nie tylko jako działalność w danym rodzaju, ale jako typowy kierunek swój, własny a nie naśladowany. Wystawie serdeczne można przesłać powinszowanie.

— Ładne stowarzyszenie kobiece zawiązało się w Holandyi: celem jego jest zaludnianie pustych i nieuprawnych kawałów ziemi, których nie brak w tym kraju. Stowarzyszenie kupuje ziemię, stawia domki, wynajmuje je bardzo tanio biedakom mieszkającym w miastach i tym sposobem umożliwia im lepsze mieszkania, a że pustki te najczęściej nabywane są w pobliżu wielkich ognisk miejskich, przeto biedni wyrobicy mogą chodzić na robotę, a dzieci uczęszczać do szkoły w mieście. Po zamieszkaniu siedziby, zachęca towarzystwo swych lokatorów do porządnego gospodarstwa, do osadzania domostwa drzewkami, za co nawet osobne rozdaje nagrody. To rozsiewanie zdrowych gniazd ludzkich jest pomysłem szczęśliwym i odrazu się przyjęło i udało, domki, chatki, rosna, a coraz więcej miejskich nędzarzy wynosi się na szerszy świat boży. Wielkiem dobrodziejstwem jest to mianowicie dla dzieci.

MYŚLI.

Najbardziej upragnionym stanem ludzkości powinien być pozytywizm nauki i idealizm życia.

Al. Świętochowski.

Najwyższym celem życia człowieka jest pogodzenie serca i głowy, owych dwóch sił, co

jakby dwa wrogie sobie bliźnięta z nami się rodzą, żyją i umierają.

J. Kremer.

Bóg nie wymaga, aby człowiek stał koniecznie z odkrytą głową przed nim, lecz żąda, by człowiek czuł się ciągle przed Jego obliczem.

Elpidon.

W najciemniejsze chwile życia Bóg rozsypał brylanty szczęścia.

Tenże.

Do najszczytniejszych celów dochodzimy najczęściej użyciem skromnych środków i przy współudziale zwyczajnych przymiotów. Pilność i wytrwałość, oto dwie własności, które rozpowszecznione wydają nadzwyczajne skutki.

S. Smiles.

Na co wielkie statuty i prawa pisane,
Gdy nie będą zwyczajami ludzkimi wzmacniane

Frycz Modrzewski.

U szczytu natury są potęgi wszechwładne, które górują nad innemi; u szczytu sztuki są arcydzieła, które panują nad innemi; obydwia wierzchołki są narówni względem siebie, a wszechwładne potęgi natury wyrażają się arcydziełami sztuki.

Taine.

Marnem i niebyłem wszystko, co w czyn się nie wciela.

Z. Krasinski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 8-my powieści, p. t. *Dwóch ludzi*, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Na werendzie. (Pogawędka) przez ??—Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Odczyty. VI., przez Wł. Bukowińskiego.—Mściwoj, tragedia w 5-ciu aktach, napisał Jerzy Ostojka.—Kronika działalności kobiecej.—Myśli.

Dodatek obejmuje: *Dwóch ludzi*, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S. arkusz 8-my.—Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою.—Варшава, 19 Мая 1899 г.

Chusteczka, powijak i pieluszka.

Rycina Nr 30—32 w Bl. Nr 21.

Chusteczka podana na rycinie ma 21 ctm. w kwadracie i obdziergana w zęby. Powijak ma 135 ctm. dług., 6 ctm. szer. i zrobiony jest z miękiego materiału (najlepiej ze starego płótna) i obdziergany wzdłuż brzegów. Zakończenie stanowi ścięty róg z tasiemką do wiązania. Pieluszka ma po 33 centim. długie przyprostokątne brzegi a na 48 ctm. długi brzeg przeciwprostokątny i zakończony obrębem na 1 ctm. szerok.

Ubranie letnie z fularu.

Rycina Nr 1.

Suknia niniejsza zrobiona jest ze srebrno-popielatego fularu w turkusowo-niebieskie centki, a przybrana gipiurą z żółtawym odcieniem. Spódnicą krojona fasonem „serpentin“ w ten sposób naszyta jest gipiura, że ta ostatnia tworzy na przodzie i z tyłu imitację fartuszkowych tiunik, krzyżujących się na środku. Bluzkowy, z boku zapinany staniczek posiada pod szyją wycięcie obłożone gipiurą i pasek z turkusowego aksamitu. Obcisłe rękawy, ozdobione zostały epoletem z gipiury, a szyja otoczona trzema czarnymi aksamitkami. Całość wypełnia kapelusz z objętym czarną aksamitką, brzegiem i przybrany piórami i stosowną wstążką.

Żakiet i kapelusz podróżny.

Rycina Nr 2.

Bardzo elegancką całość tworzy połączenie tego jasnego żakietu z kapeluszem odpowiedniego koloru. Żakiet z tyłu wcięty do figury a z przodu wolny, przybrany został licznymi przestębnowaniami wzdłuż konturów i na środku. Przytem posiada niezbyt otwarte wyłogi, aksa-



Nr 2. Żakiet i kapelusz podróżny. Nr 3. Kapelusz i kołnierzyk z frendzlą.

mitny kołnierzyk i dwa rzędy dużych guzików z masy perłowej. Praktyczny kapelusik czarnego lub innego koloru, posiada dosyć wysoką główkę z wygięciem denczkiem i pozaginaniem rondkiem. Przybranie stanowi aksamitka szerokości 5 centim. i tiulowa woalka z boku na węzeł przewiązana i podpięta dwoma skrzydełkami.

Kapelusz i kołnierzyk z frendzlą.

Rycina Nr 3.

Rycina podaje letni kapelusz z białej słomki, opasany czarną aksamitką i przybrany wiankami pasowych maków, których jaskrawość podnoszą jeszcze liczne kłosa dojrzałego żyta. Zupełną nowością jest stojący kołnierzyk z czarnej aksamitki, naszyty piękną dżetową bordiurą i zakończony na przodzie dżetową frendzlą. Również dobre wyszycie tego rodzaju dokonane być może stalowymi paciorkami z odpowiednią frendzlą. Długość frendzli wynosi 20 ctm., szerokość zaś jest dowolną i zależną od szerokości talii.

Suknia letnia ze wstążką.

Rycina Nr 4.

Podana suknia letnia stosowna jest na wszelkie wycieczki, spacer, wystawy i t. p. zebrania letnie, gdyż zrobiona jest z plisowanego „à soleil“ jedwabnego batystu i przybrana wstążkami tegoż co całość, t. j. kremowego koloru. Fason jest zupełnie prosty. Zwyczajna spódnicą i wpuszczony bluzkowy stanik, cała oryginalność polega na przyszyciu wstążek, mających 3 ct. szerokości, których końce stając się coraz krótszymi ku tyłowi, tworzą rodzaj tiuniki. Niezwykłe są także rękawy, które pomimo obcisłości są w całości marszczone i zebrane w główkę wzdłuż szwa wewnętrznego. Zakończenie stanika stanowi pasek ze wstążki atlasowej i kołnierzyk również ze wstążki ogarniowany koronką i przybrany krawatką. Ładny, lyczkowy kapelusz w rodzaju budki, posiada bogate przybranie z piór turkusowego koloru i gazy, tworzącej kwiatowe rozety.

Eleganckie ubranie koncertowe.

Rycina Nr 5.

Zupełną nowością stanowi biały kanaus w liljowe grochy i kokardki w deseni. Z tego właśnie materiału zrobiona została suknia, składająca się z gładkiej spódnicy i stanika z baskiną, opatrzonego gazowym przodem i wyłogami, pokrytymi gipiurą i zakończonymi riuszką gazową. Karczek w ząb wycięty i rękawy, podobnie ozdobione są gipiurą i riuszkami. Stosownym do całości jest kapelusz lyczkowy z roku 1830, opasany gazową draperyą i girlandą maków i wiązany pod brodą na motyla z gazy.

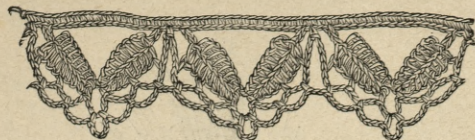
Suknie z batystu i alpaki.

Rycina Nr 6 i 8.

Pierwsza z podanych tu sukien z białego batystu na kolorowej podszewce, posiada spódniczkę przemarszczoną poniżej bioder i naszytą cztery razy ażurowymi wstawkami, przez które prześlada kolorowa podszewka. Wpuszczany, marszczony sta-



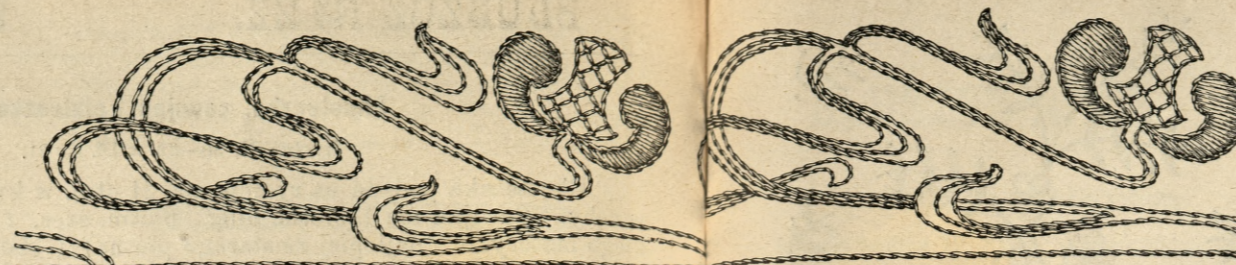
Nr 1. Ubranie letnie z fularu.



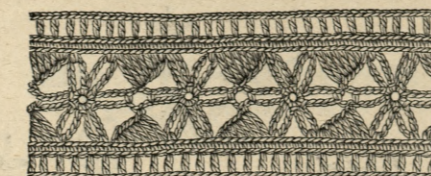
Nr 12. Koronka szydełkowa.



Nr 13. Koronka szydełkowa.



Nr 11. Szlaczek haftowany kienek dziecięcych.



Nr 13a. Wstawka szydełkowa do bielizny dziecięcej.

z białego atlasu i przybrana krawatką, której długie końce dwukrotnie przewiązane zostały klamerkami.

Peleryna letnia z tiulu.

Rycina Nr 10.

Okryciem stosownym dla każdego wieku jest peleryna z czarnego kanausu i tiulu, naszytego dżetem lub pailletami. Peleryna ta naszyta jest w niewielkiej odległości od brzegu czarną, atlasową wstążką, odgraniczającą tiul od tła z kanausu, a prócz tego wzdłuż konturów ogarniowana plisowaną falbaną z kanausu, tworzącą na przodzie rodzaj żabotu, jakby zakończenie wysokiego kołnierzyka „Médicis.“ Całość podbić można kolorową, jedwabną podszewką.

Koronka szydełkowa.

Rycina Nr 12.

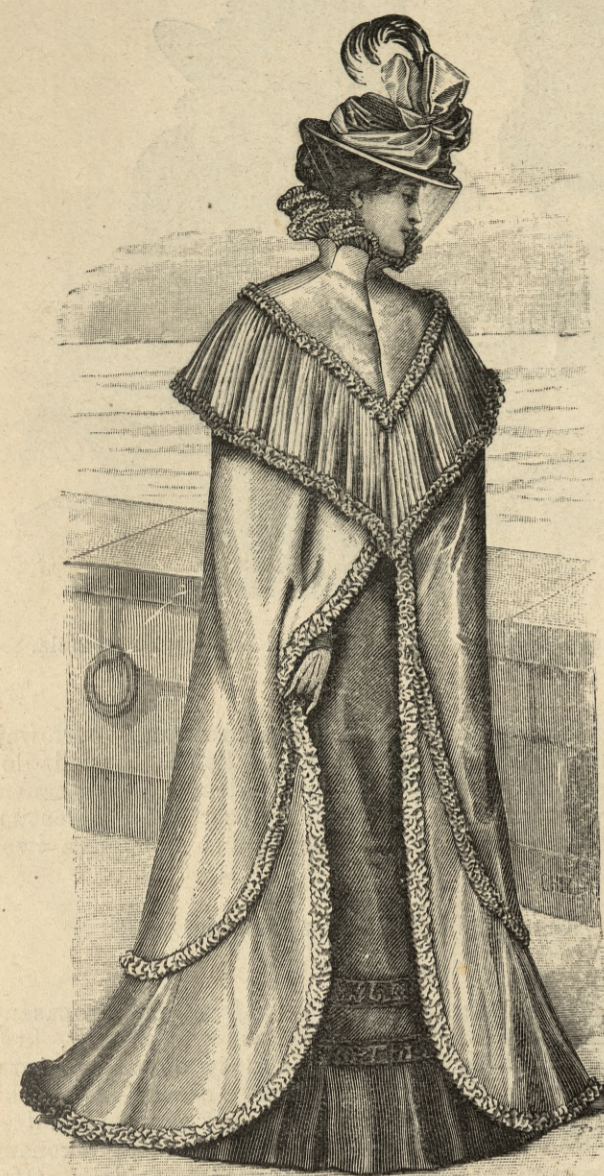
Objaśnienie: o.-oczko, p.-powietrzne, śc.-ścisle, l.-łańcuszek, lk.-luk, lst.-listek, sl.-słupek, pdw.-podwójny, ptr.-potrójny, odwr.-odwrócić, opś.-opuścić, zak.-zak. kończyć.

Koronkę mniejszą robić należy Nr 50 bawełny na podstawie z op.—1 tour: 1 o. opś., 8 śc. o. w następne 8 o., * na 1 lst. 10 op., 7 o. podnieść od 9 do 3 op. i wszystkie 8 ocz. na szydełku kolejno przerabiać, robotę zwrócić w prawo, a po drugiej stronie o. podstawy lst. po 1 o. z opuszczonych op. i z dopiero co użytych, 7 op. podjąć i kolejno przerobić, 1 op., 1 śc. l. w najbliższe o. środkowego żeberka, 5 op., 1 śc. l. w ostatnio użyte o. środkowego żeberka i z prawej strony 2 śc. l. w 2 najbliższe op., poczem 15 śc. o. w następne 15 o. podstawy, 1 lst. jak przedtem i takowy połączyć z poprzednim przez 1 śc. l., poczem 3 śc. o. w najbliższe 3 o. podstawy i od * powtórzyć.—2 tour: * 1 śc. o. w 2 śc. o. przed najbliższym lst., 3 op., 6 śc. o., rozdzielonych 5 op. podług ryc. wokoło obu lst., poczem 3 op. od * powtórzyć, zakończyć 1 śc. o.—3 tour: * 2 razy nap. 1 śc. o. w najbliższe 5 op. listka, 5 op., poczem 2 śc. ocz., rozdzielone przez 5 op. wokoło środkowego łuku, 2 razy nap. 5 op., 1 śc. o. wokoło następnych 5 op., poczem 2 op. i od * powtórzyć.]

Koronka szydełkowa.

Rycina Nr 13.

Rycina podaje koronkę, służącą zarazem do przeciągnięcia przez nią wstążeczki i ściągania, czy to koszulki, lub rękawków u rączki dziecka. Zaczynać należy od 12 o. podstawy.—1 tour: 4 o. opś., 1 śc.



Nr 16. Płaszcz podróżny od kurzu.
(Kroj i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 24—28).

niczki, zakończony paskiem „Médicis.“ posiada żuawkę z tyłże wstawek i wysoki marszczony kołnierzyk, osyty riuszką.

Suknia Nr 8, z szafirowej alpaki, posiada gładką spódnicę i staniczek wpuszczany z białym przodem, którego zakładki przestębnowane ponsowym jedwabem. Wyłogi pokryte są haftem, wykonanym również ponsowym kolorem. Stojący, wykładany kołnierzyk, zakończony jest ponsową krawatką, a w tymże kolorze utrzymany jest bardzo wąski pasek. Zapięcie stanowią dwa rzędy kryształowych guziczków.

Kołnierz dla młodej osoby.

Rycina Nr 7.

Wielką ozdobą każdej skromniejszej tualety jest kołnierz w rodzaju podanego na naszej rycinie. Zrobiony jest on z czarnego kanausu, pokrytego plisowanym i naszytym pailletami, tiulem. Brzeg zakończony jest falbanami z kanausu i tiulu, których przyszyte pokrywają wąskie riuszki. Wysoki, tiulowy kołnierz, spięty jest dżetowymi zapinkami.

Suknia spacerowa z baskinowym stanikiem.

Rycina Nr 9.

Podana tu suknia z popielato-zielonego „covert-coat“ w białe centki, utrzymana jest w angielskim guście, a ze względu na fason może być zastosowana do użytku pań w średnim wieku. Składa się z zupełnie gładkiej spódnicy i stanika z kamizelką. Stanik posiada wyciętą baskinę i wyłogi, wszystkie ujęte w białe pliski, które powtarzają się również na rękawach i kołnierzu, utworzonym z tyłu przez wyłogi. Kamizelka w ukośne zakładki, zrobiona została



Nr 15. Gałązka haftowana do ryc. Wielkość oryginalna.

w następ. o., 4 op., 1 śc. w 5 o., 1 op., 4 śc. w ostatnie o. podstawy.—2 tour: 2 o., po 1 śc. o. w 4 następne śc., 2 śc. o. w następne pojed. op., 4 śc. o. w następne 4 op. i 2 śc. o. w op. po za następnym śc.—3 tour: 3 op., 1 śc. w 2 śc. o., 4 op., 1 śc. w 5 śc. o., 1 op., 4 śc. w 2 śc. o. W ten sposób powtarzać 2 ostatnie туры, aż na odpowiednią długość.

Wstawka szydełkowa do bielizny dziecięcej.

Rycina Nr 13a.

Ładną tę wstawkę robić należy mniej lub więcej grubą bawełną, stosownie do użytku. Zaczynać należy od pierwszej połowy szeregu rozet.—1 tour: 16 op., 2 śc. o. rozdzielone przez 9 op. w 6 op., poczem 23 op., 2 śc. o. rozdzielone 9 op. w dziesiąte op., zakończyć 6 op., a na 2 połowę szeregu rozet 1 śc. o. w 5 z 6 op., † 4 op., 3 śc. o. rozdzielone przez 9 op. w op., użyte w pierwszym szeregu do śc. o., 4 op., 2 śc. ocz., rozdzielone 3 op. w 5 i 9 z następujących 12 op., poczem od † powtarzać odpowiednią ilość razy i zakończyć 1 śc. o. w 1 o. podstawy. Następnie idąc w jedną stronę — 2 tour: * 2 śc. o., rozdzielone 5 op. w 5 środkowe op. lk. jednej rozety, 1 ptr. słup. w 2 z najbliższych op., poczem podług ryc. 1 śc. o., 1 pl. śc., 1 śc., 2 pdw. śc. w ptr. słup. i od * powtórzyć. — 3 tour: 1 śc. o. w każde o. — 4 tour: 1 śc. w najbliższe o., poczem naprz.: 1 op., 1 śc. w 2 o. — 5 do 7 tour: po drugiej stronie wstawki 2—4 tour.

Suknia skromna dla młodej pani.

Rycina Nr 14.

Suknia z miękkiej, bledo-zielonej wełny. Stanik wycięty, marszczony, paskiem zakończony. Wycięcie u stanika naszyte czarnym galonem. Kołnierzyk i karczki z białej gipsury. Pasek z czarnego atlasu. Kapelusz z zielonej słomki, przybrany czarnym, jedwabnym tiulem, opasany ciemno-zielonym aksamitem, przepiętym złotą klamrą.

Fartuszek batystowy dla dziewczynki od 6—7 lat.

Rycina Nr 20 i 19.

Fartuszek ten zrobiony jest z cienkiego batystu i ma 44 ctm. długość, a 110 ctm. szerokość. Dolny brzeg zakończony jest tiulową koronką i ozdobiony bardzo ładnym haftem, wykonanym przeważnie ściąganiem gałązkowym i atłaskiem w kolorze różowym (ryc. 18). Górny brzeg, zmarszczony na szerokości 36 ctm. wszyć należy w pasek rów-



Nr 14. Suknia skromna dla młodej pani.

niez marszczony i posiadający napiersnik, oraz wstążki do wiązania. Napiersnik składa się z dwóch długich pasków, mających 21 centim. długość, i po 2 ctm. szer. i jednego poprzecznego na 6 ctm. szer. i 9 ctm. długość, przytem połączony jest z kołnierzem, ułożonym w kontrafałdy z batystu na 56 ctm. szer. a 16 ctm. długość. Prócz tego fartuszek posiada 2 kieszonki, układane również w kontrafałdy i oszyte tiulową koronką, podobnie jak kołnierz i napiersnik i przeciągnięte różową wstążeczką.

Puf adamaszkowy.

Rycina Nr 21.

Elegancki ten puf ze srebrno-popielatego adamaszku w deseń, posiada oryginalną formę torebki, przewiązanej kwastami i oszytej fryzurami z różowego rypsu. Przystępując do wykonania kroić należy z adamaszku 2 części, mające 38 ctm. długość, a 22 ctm. szer., następnie takowe zszyć, zostawiając rozporoki na 7 centim. długość. Nie zeszyte części podbić podszewką z różowego rypsu, wsunąć do środka poduszeczkę puchową i brzeg zaszyć. Kwasty mogą być zielonawo-oliwkowego koloru i zakończone rozetami z rypsu różowego.

Ramki do fotografii.

Rycina Nr 22.

Rycina przedstawia bardzo ładne ramki z zielonego pluszu, których tło stanowi różowa materya, ponaszana w ten sposób, że tworzy głębokie fałdy, raczej przegródki, służące do zakładania fotografii. Dolna z tych przegródek opatrzona jest pięknym haftem, wykonanym podług ryc. Nr 15 ściąganiem gałązkowym i atłaskiem. Do haftu należy użyć filozelli w zielonawych kolorach, z żółtymi



Nr 4. Suknia letnia ze wstążką.

Nr 5. Eleganckie ubranie koncertowe.

Nr 6. Suknia z batystu.

Nr 7. Kołnierz młodej

Nr 8. Kołnierz z alpaki.

Nr 9. Suknia spacerowa z baskinowym stanikiem.

Nr 10. Peleryna letnia z tiulu.

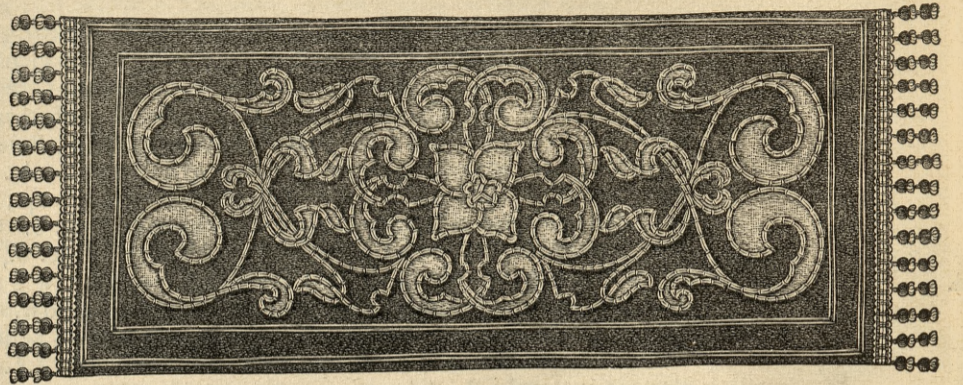


Nr 17. Suknia batystowa
w paski.
(Kroj i opis odwr. str. tablicy
Nr IX, fig. 71—81).

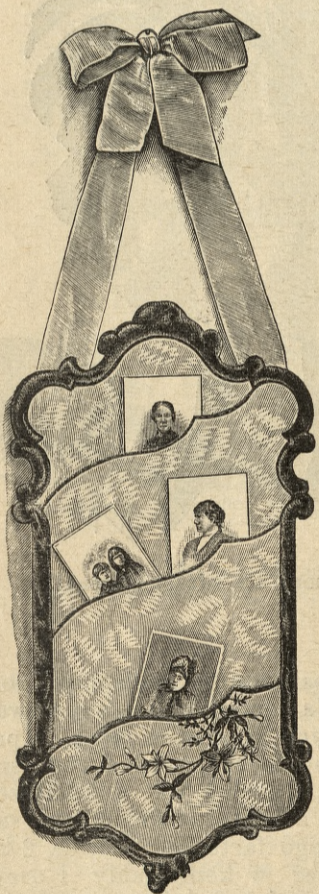
Nr 18. Suknia zefirowa
w kratkę.
(Kroj i opis odwrotna strona
tablicy, fig. 82—93).



Nr 19. Gałazka haftowana do ryciny Nr 20.
Wielkość oryginalna.



Nr 23. Laufer na stół do roboty.
(Deseń pierwsza str. tabl. fig. 63).



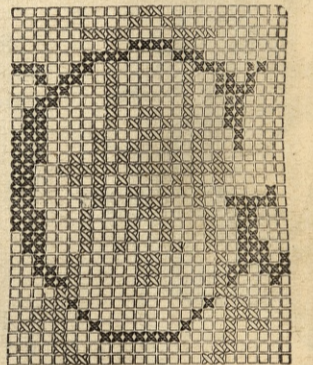
Nr 22. Ramki do fotografii (do ryc. Nr 15).
Deseń pierw. str. tabl. fig. 115.



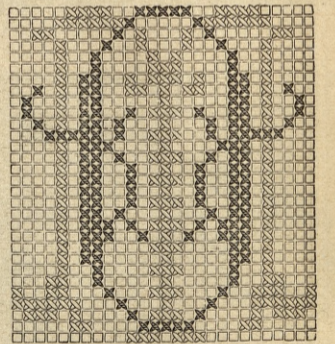
Nr 20. Fartuszek batystowy dla dziewczynki
od 6—7 lat (do ryciny Nr 19).



Nr 21. Puf adamszkowy.



A. G.



M. O.



Nr 24. Serwetka do salonu.

i niebieskimi odcieniami do kwiatków, które przeważnie otrzymać należy w kolorze ponsowym, a pączki — w „fraise.“ Przystępując do wykonania kroić należy fig. 125 z tektury, z której również powycinać przegródki i takowe, każdą z osobna obramować wypustką z pluszu i obciągnąć materyą. Do zawieszenia służy wstążka na 4½ ctm. szer., u góry na karkę związana.

Przepisy gospodarskie.

WĘDLINA W 48 GODZIN.

Rosbeuf, poledwica wołowa lub wieprzowa, grubo cięta miękka zrazówka, lub przez pół ucięta szynka wrzuca się na 4—5 minut do wrzącej wody; ażeby części białkowane

ścięły się a sok pozostał w mięsie. Po wyjęciu z wody jeszcze gorące mięso natrzeć solą, zmieszaną z cukrem i saletrą, ułożyć w jakie polewane naczynie i postawić w pobliżu gorącego pieca, lub w kuchni na kominie przez 20 godzin. Po upływie tego czasu mięso z naczynia obetrzeć i zawiesić nad gorącym dymem na 20 — 24 godzin. Tak przyrządzone mięso podaje się na surowo, krając bardzo cienko, jest ono nadzwyczaj smaczne i pożywne.

Obiad na Niedzielę.

1. Chłodnik.
2. Paszteciki we francuskim cieście.
3. Poledwica z rożna.
4. Szparagi.
5. Kurczęta z mizeryą.
6. Lody śmietankowe.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.“